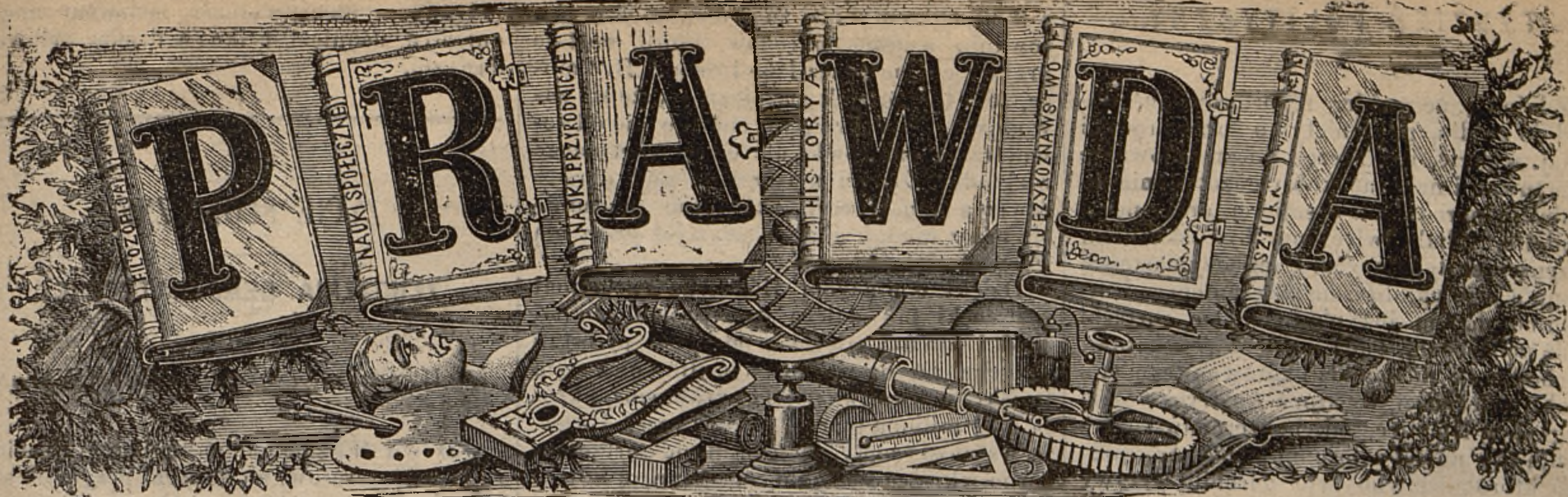
№ 7. Warszawa, dnia 16 (4) Lutego 1889 r. Rok IX.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

ROZRUCHY RZYMSKIE.

Dość rozpowszechnionem, a z pewnego względu zasadnem jest mniemanie, że hasło do wielkiej wojny europejskiej dadzą Włochy. Jest to bowiem naród najuboższy z tych, które opancerzyły się militaryzmem, posiada najmniej sił do dźwigania olbrzymich ciężarów nadzwyczajnego budżetu wojennego. Rzeczywiście już w roku bieżącym dług państwowy wzrósł do groźnej wysokości, a w następnych pójdzie niewątpliwie dalej, co dla kraju, niemającego czem nawet osuszyć swoich obszernych gniazd malaryi, dla kraju skał i bezpłodnych przestrzeni jest bardzo groźnem. Obecny kierownik polityki włoskiej Crispi z pewnością uważa sobie za czyn wielkiej chwały i wagi zawarcie spółki sojuszowej z Niemcami i Austryą. W istocie zaś była to i jest równie bezrozumna, jak bezcelowa zabawka w wielkie mocarstwo kosztem skóry i kieszeni narodu, który ani tego kontraktu potrzebował, ani na związaną z nim grę ważyć się nie powinien. Żadne inne państwo w Europie nie jest mniej zagrożonem, mniej zmuszonem do walki zaczepnej lub odpornej, a natomiast żadne nie ma więcej do załatwienia spraw wewnętrznych i usunięcia nędzy. Nietrudno było przewidzieć, że zaklejanie dziur, zasłanianie obrazów niedoli, że cała polityka blichtrów zewnętrznych prędzej czy później rozedrze się na jakimś ostrym wypadku zbuntowanej niedoli. Jakoż przed dziesięciu dniami Rzym zakosztował gorzkiego owocu rewolucyi głodnych. Pozbawieni pracy robotnicy budowlani, daremnie zwracający się do rozmaitych władz o miłosierdzie i pomoc, pod natchnieniem rozpaczy wylegli na ulice wielotysięczną gromadą, zburzyli szereg sklepów, natłukli szyb, otoczyli parlament i zagrozili sroższym wybuchem, jeżeli rząd nie zaopiekuje się ich nędzą. Zarówno pisma miejscowe, strzegące przedewszystkiem interesu sytych, a jak nigdzie równie obojętne i ślepe na źródła i niebezpieczeństwa podobnych ruchów, jako też telegramy przedstawiły uczestników tego buntu jako bandę rabusiów, którym szło jedynie o kradzież. Jest to zupełnie naturalnem, że tego rodzaju łożyska mają zawsze dopływy z pierwiastków moralnie skażonych, że z nędzą miesza się zbrodnia lub rachuba awanturnicza, że wogóle pochód robotników rzymskich zaznaczył się śladami dzikości; ale świadkowie bezstronni wyznają, że ślady te były stosunkowo bardzo nieliczne i raczej świadczyły o rozpaczy i zemście, niż o grabieży. Zawezwane wojsko stłumiło rozruch, przywódców osadzono w kozie, wzmocniono straże i patrole, wprawiono szyby, otwarto sklepy — i spokój wrócił. A jakkolwiek dużo zmarnowano szkła i wyrządzono rozmaitych szkód, możnaby nie zastanawiać się dłużej nad tym faktem, gdyby nie zachowanie się rządu, a raczej Crispiego, które było egzaminem *cum eximia laude* z bezrozumu i płytkości umysłowej. Gdy w parlamencie zażądano wyjaśnień w tej sprawie, minister całą winę zwalił na... naczelnika policyi, który— nie użył w porę tyle wojska, ile dla rozpędzenia tłumu było potrzeba. Zapowiedział przytem, że część robotników znajdzie zajęcie przy nowych budowlach, część zaś zostanie odesłaną do miejsc urodzenia, gdyż „stolica nie może żywić nędzy prowincyonalnej." Zaiste, wielką jest nędza pozbawionych pracy robotników, ale jeszcze większą chyba pustej głowy Crispiego. Ażeby rządca państwa, który powinien głęboko patrzeć w życie i stosunki narodu, przyczynę niszczącego rozlewu sił roboczych widział w niedbalstwie jednego urzędnika policyjnego, ażeby mógł mniemać, że sprowadzone dwie roty zamiast jednej wyleczą chorobę społeczną, na to potrzeba być Crispim, człowiekiem, który albo nie miał nigdy rozumu, albo go w podróżach do Friedrichsruhe stracił. Nic też dziwnego, że lewa strona parlamentu odpowiedziała zgrozą na to wyjaśnienie, zwłaszcza gdy lichy aktor, mizernie naśladujący Cavoura, zaczął posłom demokratycznym wyrzucać wpływ bezpośredni na rozruchy. On, który dla sojuszu z Bismarkiem i otoczenia się blaskiem wielkiego męża stanu rzuca setki milionów w otchłań militaryzmu, on, który odbiera biedakom pracę a z nią chleb, on, który nędzarzom każe utrzymywać ogromną armię, on, który z Włoch wytworzył głodne i bose mocarstwo, on nie winien rozpaczliwego wybuchu ludzi, którzy nie mają co jeść, ale winien naczelnik policyi i parlamentarni orędownicy ubogich! Horacy powtórzyłby swemu ziomkowi: „trudno nie pisać satyry."

Uwiedzeni przez polityków tego gatunku włosi wogóle nie zaczęli jeszcze poważnie myśleć nad t. z. kwestyą społeczną. Sądząc jednak z odgłosów opinii publicznej o ostatnim starciu, zdaje się, że w jej oczach Crispi zmalał, że skutki jego wędrówek do kanclerza niemieckiego oraz przesunięcie punktu ciężkości w sferę polityki zewnętrznej — powiększyły koło niezadowolonych. Coraz wyraźniej bowiem rysują się dwie drogi: albo kosztowną armię zużytkować w jakiejś wojnie, albo tracone na nią środki poświęcić dla ulżenia niedoli wewnętrznej. Rozruchy rzymskie były pouczającem ostrzeżeniem.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zdaje się, że świder reporterów już dotarł do źródła, gdyż nietylko przestali oni dalej wiercić, ale zaczęli niezmordowanie pompować i nalewać kubły gazet donieśieniami jednorodnemi o śmierci arcyksięcia Rudolfa. Miała więc ona być skutkiem przyczyn następujących: Pomiędzy następcą tronu a jego najbliższem otoczeniem rodzinnem od dawna już objawiły się rozterki bądź politycznej, bądź uczuciowej natury. Nieboszczyk nienawidził zarówno tego stosunku zależności, w który Austrya weszła względem Niemiec, jak i suzerenów (przypisują mu nawet założenie pisma *Schwarzgelb*, które niedawno tyle narobiło wrzawy odrazą ku Prusom), nie mógł znieść przymusu w związku z żoną, pokochał piękną baronównę Veczerę, usiłował dla połączenia się z nią uzyskać rozwód, a gdy w żadnym kierunku zwyciężyć nie mógł, odebrał sobie życie, poświęciwszy wszystkie korzyści swego stanowiska za prawa człowiecze.

Dziedzic tronu jeszcze nie ogłoszony. Będzie nim prawdopodobnie bratanek cesarza, Franciszek Ferdynand. Dla uspokojenia ludów swej monarchii, Franciszek Józef wydał do nich odezwę, w której zapewnił, że jego następca uszanuje ich prawa i konstytucyę.

Stroskani rodzice pojechali do Węgier dla ukojenia tam żalu, ale także dla oddziałania na wzburzoną opozycyę przeciwko ustawie wojskowej. Nadzieja ta wszakże zawiodła, gdyż niezadowoleni przyjęli parę monarszą na dworcu z uszanowaniem i powagą, ale złorzeczyć Tiszy i jego czeredzie nie przestali. Mimo to ustawa w sejmie przeszła.

Na stosunkach francusko - niemieckich wyprysnęła znowu zwykła krosta. Lekarz wojskowy Eudes nie mógł odwiedzić swej matki konającej w Strasburgu, gdyż ambasada niemiecka w Paryżu odmówiła mu wizy paszportowej. Rozjątrzony tem półkownik Senart, w okólniku wojskowym napiętnował okrucieństwo niemieckie, za co otrzymał naganę od swego ministra wojny, cichy poklask od współziomków, a głośne brutalstwo od prasy kanclerskiej. Ta krosta już zeszła, ale wkrótce nowa się pojawi.

Gambetta widział zbawienie dla Rzeczypospolitej w głosowaniu z listy (departamentami), Floquet po doświadczeniach z Boulangerem widzi znowu ratunek w głosowaniu według okręgów, które zostało przywróconem przez Izbę i Senat. Być może, że i ten środek leczniczy okaże się zawodnym, gdyż Francya choruje nie od zewnętrznej sznurówki, ale od wewnętrznego rozkładu. Z kolei ma przyjść pod obrady rewizya konstytucyi, która nie przesunie się przez nie tak gładko, gdyż już przez nią Floquet się wywrócił.

Dzięki operacyom Bismarka parlament niemiecki tak dalece stracił robotę, że poprostu nie ma zajęcia a posłowie przestali przychodzić na posiedzenia. Również sejm pruski, uchwaliwszy podwyżkę pensyi króla o $3\frac{1}{2}$ miliona marek, założył ręce. Biegają wszakże szepty, że bezrobocie parlamentarne wkrótce zostanie zażegnanem nowymi kredytami... wojskowymi. Ma być zmieniony system karabinów, czy też dokonany jakiś inny sprawunek.

Ks. Bismark może teraz czuć bóle newralgiczne dotkliwiej, niż kiedykolwiek. Przegrawszy sprawę Geffckena, nasłuchawszy się ostrych nagan za nadużycie w prasie tajemnic korespondencyi prywatnej, zebranej przy śledztwie, musi teraz czytać druzgocący go artykuł w *Contemporary Review* p. t. „Dynastya Bismarkowska" bez możności zrobienia rewizyi, wytoczenia procesu autorowi i wydawcy oraz złożenia cesarzowi *Immediatberichtu*. Artykuł ten, pisany umiejętnie i ze znajomością stosunków, oskarża kanclerza o samolubne wytwarzanie ze swej rodziny dynastyi rządców państwa, sprawił zaś w Anglii tak wielkie wrażenie, że przez pięć dni miał pięć wydań.

Emir Abdurrachman pod pozorem zaprowadzenia ładu w swem państwie zbliżył się z poważną siłą wojskową ku granicy ruskiej, którą ubezpieczono na wypadek dalej sięgających jego zamiarów.

W Japonii ogłoszona została konstytucya na wzór niemieckiej. Izba wyższa składa się w połowie z członków wybieranych przez naród, w połowie z mianowanych przez cesarza. Izba posłów składa się z 300 członków. Prawo wyborcze służy wszystkim obywatelom japońskim, którzy ukończyli 25 lat życia i płacą rocznie conajmniej 26 dolarów podatków. Konstytucya poręcza japończykom swobodę religijną, tudzież swobodę słowa i prawo zgromadzeń. Parlament posiada władzę ustawodawczą, tudzież kontrolę nad zarządem finansów. Konstytucya ustanawia nieusuwalność sędziów; mogą oni być usunięci tylko w drodze ustawodawczej.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZŁUDZENIA DEMOKRATYCZNE.

II. Widoki ekonomiczne oddzielnych grup ludowych.

Już we *Wstępie* napomknęliśmy, iż zbiorowisko interesów, na którem przylepia się jednobrzmiącą etykietę „ludu," bynajmniej nie przedstawia jakiegoś zgodnego chóru. W gruncie rzeczy oglądamy tutaj kilka grup odmiennych, często z wprost sprzecznemi dążnościami w teraźniejszości oraz z niejednakowymi widokami wytrwania na przyszłość. Zatrzymamy się nad tem, lecz przedtem musimy wyznaczyć najważniejsze odłamy „ludu," obok właściwych każdemu warunków materyalno - ekonomicznych. Otóż przedewszystkiem mamy do czynienia z rzemiosłem. Opiera się ono na indywidualnej własności narzędzi pracy ze strony pracownika, braku podziału pracy przy wyrabianiu przedmiotów, oraz robocie na obstalunek. Wszystko to są stosunki nie do pogodzenia z bardziej wytwórczemi metodami produkowania — zaprowadzeniem podziału pracy w warsztacie, zastosowaniem maszyn itd. Słowem, rzemiosło stanowi osad, który pozostał jako spuścizna po średniowiecznych sposobach produkcyi wśród odmiennego podścieliska ekonomicznego, zresztą jeszcze dość liczny, bo śród ludności przeważa procentowo wszędzie, prócz Anglii, nad wielkim maszynowym przemysłem. Podobną spuścizną jest i włościaństwo, czyli drobna uprawa roli. Stanowiło ono niegdyś podwalinę ustroju społecznego. Uwłaszczenia obecnego stulecia, będące w istocie uwłaszczeniami ostatecznemi panów feodalnych na zrabowanej ziemi zbiorowej a nieuprawnej dawnych spółkowin rolnych, nadały mu jedynie odmienny wygląd prawny. Lecz, tak samo jak rzemiosło, jest to w całem znaczeniu tego słowa warstwa starożeczna, która przedstawia

7)

NIEŚMIERTELNE DUSZE.

III.

REGINA

dramat w trzech aktach

przez

W. Okońskiego.

AKT III.

(Dzieje się w mieszkaniu poprzedniem).

SCENA I.

Regina i ks. Feliks.

Ks. Feliks.

Nikt tego nie wymaga. Rozumiem bardzo dobrze, iż czysty strumień naszej wiary, płynąc przez bagno dzikiego pogaństwa, musi się niem mącić. Kościół też oddawna uznaje i toleruje takie przejściowe, niedoskonałe postacie katolicyzmu. Wprawdzie ojciec Makary i pani własnowolnie, nie z potrzeby zastosowania się do umysłów ciemnych, zmieniliście głoszoną murzynom naukę religii, ale i na ten racyonalizm Stolica Apostolska zezwala, chociaż go za odszczepieństwo poczytuje.

Regina.

A więc wszystko jest w porządku.

Ks. Feliks.

Nie wszystko. Naprzód wasza stacya misyjna powinna się uznawać katolicką.

Regina.

Ona jest tylko cywilizacyjną.

Ks. Feliks.

To niczego nie wyraża. Powtóre, nawróceni przez was murzyni powinni się uważać za trzodkę owczarni katolickiej.

Regina.

Kiedy my właściwie nikogo nie nawracamy, ale kształcimy.

Ks. Feliks.

No to przynajmniej powinniście nazywać się dziećmi Ojca świętego.

Regina.

Ach, nazwijcie nas sobie dziećmi, czyjemi chcecie, aby to nas tylko do niczego i do nikogo nie zobowiązywało.

Ks. Feliks.

Pani szanowna, każdy człowiek musi swoje cele związać z celami jakiejś zbiorowej potęgi, inaczej będzie samotnym atomem błądzącym śród światów, które go zetrą. Przez siebie i dla siebie jedynie istnieć nie możecie, musicie bodaj zewnętrznie przylgnąć do większej od was mocy. Kropla wody sama jest niczem a połączona z innemi kroplami w oceanie staje się cząstką olbrzymiej siły. Czy zaś między potęgami świata można wskazać wspanialszą, szlachetniejszą, zaszczytniejszą dla należących do niej jednostek, niż Kościół?

Regina.

Księże dobrodzieju, o ile w tym przedmiocie zachodzi różnica między naszymi poglądami, to jest ona tak wielką, że spór byłby daremnym. Nie mam nic przeciwko temu, ażebyście nas zaliczyli do swoich, bo tej niewinnej przyjemności nie żałowałabym również protestantom, mahometanom lub buddystom, tylko zastrzegam: niech to nas do niczego nie obowiązuje.

Ks. Feliks.

Jakto można mówić bezwzględnie: do niczego! Wielkich ofiar nikt nie żąda, ale drobnej, lekkiej...

Regina.

Mianowicie?

Ks. Feliks.

Zwierzchnictwo Kościoła nad waszą — że tak powiem — parafią musi przecież mieć jakiś widomy dowód jej poddaństwa, zresztą nie poddaństwa — jeśli panią ten wyraz razi — ale dobrej woli, przywiązania do Stolicy Apostolskiej...

dawne metody produkcyi i wymiany, a prędzej lub później musi zastosować się do nowych, wyłonionych przez dalszy postęp techniczny. Odmienny najzupełniej widok spostrzegamy wśród innego odłamu „ludu“ — najmitów fabrycznych. Są oni dosłownie dziecięciem nowoczesnych potęg wytwórczych — kapitalizmu, wzrastającem liczebnie w miarę zapanowywania tych ostatnich w społeczeństwie. Tym sposobem antagonizm pomiędzy poprzedniemi grupami ludowemi a kapitalizmem polega na przeciwstawności metod produkcyi (w zastosowaniu do rzemiosła) i wymiany (odnośnie do włościaństwa). Tymczasem najmici wnoszą rozterkę zgoła odmiennej natury — klasową, wynikającą z podziału wytwarzanych dóbr materyalnych. Jednakże mimo tego antagonizmu klasowego, pomyślność najmitów, w obrębie kapitalizmu, ściśle się wiąże z zyskownym biegiem interesów przedsiębiorcy. Zarobek się zwiększa z rozrostem rynków i gorączkowością produkcyi i, co za tem idzie, dochodami panów „pracodawców.“ Dość przejrzeć dzieje Trades-Unionów, aby należycie zrozumieć tę harmonię zobupulną na podścielisku sprzeczności interesów. W granicach chwili obecnej najmicie nie idzie o zniesienie kapitalizmu, jak rzemieślnikowi, lecz przeciwnie o jego rozrost, byleby był spętany przez odpowiednie urządzenia związków robotniczych, prawodawstwa fabrycznego i inne, które powściągałyby samowolę i wyzysk. Niektóre z tych środków, jak np. prawodawstwo, wprost rujnują rzemiosło; zamiast wywodów teoretycznych, damy na to pojedynczy przykład, zaczerpnięty z tutejszych stosunków. Otóż w Białymstoku jesienią 1887 r. robotnicy zaprzestali pracy w drobnych warsztatach tkackich w celu zupełnego ich zniszczenia, gdyż wyzysk i samowola dochodziły tu do większego stopnia, aniżeli w fabrykach. Jakież są teraz następstwa polityczno społeczne tego różnorodnego charakteru grup ludowych? Pamiętajmy, że człowiek, zwłaszcza wśród warunków drobnej produkcyi, które jakkolwiek dają niejaką niezależność wraz z pewnością jutra, lecz za cenę pogrążenia się w miernocie umysłowej i zwężenia widnokręgów, nie tak łatwo jest w stanie zrozumieć wymagania nowych potęg produkcyjnych. Dzięki temu, ideały i dążności drobnej produkcyi, o ile wypowiedziały się w programach politycznych, nie dążą w kierunku wzrastającej wytwórczości, lecz przeciwnie trzymają się uporczywie starego gruntu. W ten sposób powstaje w Europie zachodniej zupełne przeciwieństwo pomiędzy różnymi odłamami „ludu.“ Wówczas gdy najmictwo, przyjmując kapitalizm za fakt, chciałoby jedynie przyspieszyć bieg rozwoju dziejowego, warstwy, oparte na drobnej produkcyi, usiłują powstrzymać i nawet cofnąć wstecz koło historyi.

Sprzeczność interesów wśród „ludu“ w Niemczech i Francyi, o ile uwidoczniła się ona w ideałach reformy społecznej, poddamy rozbiorowi później. Natomiast obecnie zatrzymamy się nad położeniem ekonomicznem rzemiosła i włościaństwa. O pierwszem zbyteczną jest rzeczą drobiazgowo mówić. Jego zanik wśród społeczeństw, bardziej posuniętych ekonomicznie, podąża szybkim krokiem. „Przed 30-40 laty blacharz uchodził za jednego z najzręczniejszych i najinteligentniejszych rzemieślników w każdem miasteczku lub wielkiem mieście. Obecnie nikomu w myśli nie postanie udać się po kupno blaszanek do niego. Każdy fermer wie doskonale, że w New-Yorku, Chicago, Filadelfii i innych wielkich miastach istnieją specyalne fabryki, zaopatrzone w stosowne maszyny a wyrabiające żądane naczynia w daleko lepszym gatunku i o 50% taniej, niż to może uczynić blacharz-rzemieślnik. Tak samo rzeczy stoją z wszelkimi innymi przedmiotami kunsztu blacharskiego. Jeżeli potrzeba wielkiej ilości blachy cynkowej do jakiegoś szczególnego użytku, np. do wyrobu pudełek na biszkopty, konserwy itd., przychodzi ona już wprost z huty w odpowiedniej postaci, tak iż w krótkim czasie i z niewielkim nakładem pracy można jej nadać stosowne formy. Wskutek jednego tylko tego ulepszenia, w wielkiej piekarni biszkoptów, zużywającej miesięcznie 40,000 blaszanych pudełek, 40 ludzi wyrabia tyle, co dawniej 50. A jeżeli weźmiemy pod uwagę jeszcze maszyne, wtedy wystarczy i 25 robotników.“ (Wells). W przytoczonym przykładzie widzimy jasno powody bankructwa rzemiosła. Zwłaszcza szybko podąża ono w Niemczech i Austryi. „Jeżeli o północy zobaczysz gdziekolwiek na poddaszu światełko, możesz być pewnym, że to szewc lub krawiec nadmierną pracą usiłuje pokryć niedobory, sprawione w zarobku przez współzawodnictwo wielkich zakładów,“ powiada jeden autor, którego pracę mamy pod ręką. W Poznańskiem „całe masy mieszczaństwa po naszych miastach i miasteczkach pracują w pocie czoła na kawałek chleba dla swej rodziny; uchodzą pod naciskiem wielkich kapitałów i konkurencyi, idącej z Niemiec i od niemców, z nami mieszkających, z przednich ulic na tyły miasta, nie mając po części wyobrażenia o walce, jaką prowadzić muszą o lichą swą egzystencyę“ *). W Galicyi mieliśmy niedawno do czynienia z bardzo znamiennymi wyjawami tej walki; co do Królestwa, rzeczy stoją nie lepiej, do czego się przyczynia w stopniu znacznym warszawskie Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu, mimo założenia działu IV drobnej produkcyi. Jest to instytucya do miażdżenia rzemieślników i fabrykowania fabrykantów. Zresztą, przy rozpatrywaniu rzemiosła należy pamiętać o jednem, iż istotnie mamy w jego łonie do czynienia z stanowczemi rozterkami klasowemi — pomiędzy majstrem a czeladnikiem i uczniem. Pierwszy może znajdować się w wielkiej nędzy, lecz mimo to drze jeszcze skórę z obu ostatnich. Jeżeli przeto chcąc dowieść liczebności tego stanu, wskazują, iż w Niemczech przedstawia on w społeczeństwie większy procentowo zastęp, aniżeli najmici, do tego możemy dodać, iż 50% przypada tutaj na majstrów, drugie tyle na czeladników i uczniów. Fakt ten ogromnie wiele znaczy w upadku rzemiosła, gdyż politycznym dążnościom pracodawców przeciwstawia inne — wysługujących się czeladników. Cokolwiekbądź zresztą, drobna produkcya rzemieślnicza rozkłada się gwałtownie. Z niektórych majstrów powstają przemysłowcy wielkiego kalibru, reszta z niższymi stopniami hierarchii rzemieślniczej zamienia się na najmitów.

Podobnie topnieje i włościaństwo, jakkolwiek pod wpływem bardziej złożonych przyczyn. Wprawdzie, z wyjątkiem niektórych miejscowości, ludność wiejska stanowi główną podstawę kraju. Stosunek ludności miejskiej do wiejskiej jedynie w Saksonii przedstawia się jako 66,15 : 33,85; w Anglii już dosięga 53 : 47. W innych krajach wieś przeważa. W Belgii powyższy stosunek wyraża się jak 45 : 55, w Prusach $38\frac{1}{2}$: $61\frac{1}{2}$, we Francyi 33 : 60, aż wreszcie w Królestwie mamy tylko 16 : 84, w Norwegii 12 : 88, w Rosyi 9,9 : 80. Lecz wszędzie po-

*) *Orędownik*, nr. 153. 1884.

Regina.

Czy ksiądz masz już gotowy pomysł takiego dowodu, czy go dopiero szukasz?

Ks. Feliks.

Owszem, mam. Według oddawna przyjętego i bardzo słusznego zwyczaju nawrócona ludność krajów pogańskich wysyła do Ojca świętego pielgrzymów, którzy mu zawożą rozmaite dary i pieniądze. Otóż byłoby wielce pożądanem, gdyby z tutejszej okolicy...

Regina.

Ani ja, ani ojciec Makary nie wydobędziemy z siebie tyle odwagi i bezwstydu, ażebyśmy biedaków, którzy z obawy głodu zabijają własne dzieci i ledwie mają czem żyć, obdzierali dla powiększenia dochodów papieża, najbogatszego człowieka na ziemi.

Ks. Feliks.

Pani byś bogaczem nazwała też Chrystusa, kiedy napełnił kosze rybami i chlebem, dla nakarmienia licznej rzeszy. Podobnie Ojciec święty — on miliony zbiera, ale miliony karmi.

Regina.

Nie słyszałam o tem.

Ks. Feliks.

A któż opłaca te sieć misyj, która ogarnia całą kulę ziemską?

Regina.

Jeżeli każda tyle go kosztuje, co nasza, wydaje jedynie na takich, jak ksiądz, wizytatorów. W każdym razie posiada dla siebie samego więcej, niż wszyscy dzicy murzyni razem. On raczej mógłby ich zasilić, bo większy czują brak żywności, niż religii.

Ks. Feliks.

Możesz pani skąpić swych usług, ale nie powinnaś skąpić szacunku dla papieża. Żałuję, żem tę rozmowę prowadził i nie zaczekał z nią na powrót ojca Makarego z Zanzibaru.

Regina.

Wątpię, ażeby on coś innego księdzu odpowiedział, bo dostroiliśmy nasze przekonania zupełnie. Wreszcie nie odstręczam od próby. Ojciec Makary zapewne dziś przyjedzie.

Ks. Feliks.

Więc państwo stanowczo nie wyślecie pielgrzymów z darami do Ojca świętego?

Regina.

Nawet temu przeszkodzę i odradzę, gdyby murzyni z namowy księdza przedsięwziąć ją chcieli.

Ks. Feliks.

Setki stacyj misyjnych już odwiedziłem i pierwszy raz spotykam taki opór.

Regina.

To smutne.

Ks. Feliks.

Namyśl się pani, bo narażasz całe wasze istnienie. Jesteście otoczeni wrogami, Towarzystwo niemieckie was nienawidzi i mimo skargi ojca Makarego, prześladować nie przestanie. Jeżeli więc niemcy dowiedzą się, że odcięliście się nawet od nas, że już nad wami nic nie czuwa, oprócz waszej pychy...

Regina.

Jest to osłona równie słaba, jak papieska, a przynajmniej niekosztowna.

Ks. Feliks.

Obawiam się gniewu bożego na tę siedzibę grzechu. O, Panie ukarz mnie, żem jej nie umiał oczyścić i przybytkiem chwały Twojej uczynić. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. (*Wchodzi Morton*).

SCENA II.

Ciż i Morton.

Morton.

Na wieki wieków.

Regina.

I pan bądź pozdrowiony, żeś nas odwiedził.

Morton.

Wcześniej to zrobić pragnąłem. (*Do ks. Feliksa*). Dzień dobry. Nie uciekaj że ksiądz, przecie obu nam gościnności pani wystarczy.

Ks. Feliks.

Dla mnie tu już niema miejsca, pan je może dla siebie znajdziesz. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. (*Wychodzi*).

siadamy materyał statystyczny, dowodzący, iż środek ciężkości przechyla się wciąż ku miastom. Weźmy chociażby Francyę. Rozpatrywany powyżej stosunek w r. 1851 przedstawiał się jak 25,52 : 74,48; w r. 1861 28,86 : 71,14; w r. 1872 — 31,12 : 68,88; wreszcie w r. 1882 — 33,5 : 66,5. Nie mamy pod ręką podobnie ułożonych cyfr dla innych terytoryów, lecz na to samo wskazują różnice w corocznym przyroście dla miasta i wsi. Otóż w Anglii ludność miejska, w stosunku do 1,000 mieszkańców powiększa się rocznie o 15,3, wiejska o 9,8; w Prusach o 26,2 i 3,2; we Francyi 13,3 i 0,18; w Saksonii o 36 i—6 (tj. ubywa); wreszcie w Belgii o 28 i—3. Wzrost ludności miejskiej wytłomaczyć można jedynie wyludnianiem przestrzeni wiejskich; powiększa on, o ile pochodzi z wychodztwa rolnego, zastęp warstwy najmickiej. Ale wyludnienie wsi, wobec zwiększania się produkcyi rolnej, oznaczać może tylko jedno— bankructwo dawnych metod produkowania. To nas wprowadza w dziedzinę stosunków wiejskich. W Anglii drobna posiadłość wiejska wskutek współzawodnictwa Ameryki stała się niemożliwą; zresztą, wobec szczególnego ukształtowania własności ziemskiej w tym kraju, nie będziemy się zastanawiali bliżej nad tem pytaniem. Natomiast większą uwagę zwraca Francya, ów przysłowiowy kraj ideologów drobnej uprawy rolnej. Prace Lafarguea starły pozłotę z ich dowodzeń, wykazując, iż stan włościański w ostatnich latach szybko posuwa się ku ruinie. Już w roku 1850 z pośród liczby 7,846,000 drobnych właścicieli, prawie 38% (około 3,000,000) nie płaciło podatku wskutek ubóstwa, 7% zaś tylko 5-centymowy. Od tego czasu stosunki uległy zmianie na gorsze. Obciążenie gruntów długami wzrasta; stopa procentowa najniższa wynosi zwykle 8—9%, lecz czasem dochodzi 100%; sfera właściwa drobnej uprawy uszczuploną zostaje na rzecz hodowli zbóż, w której, nawet zdaniem Cliffe - Leslica, włościanin w żaden sposób nie może współzawodniczyć z wielką posiadłością; drobna własność rozdrabnia się na cząsteczki, uniemożliwiając wszelką racyonalną kulturę ziemi. Podobnie, jeżeli jeszcze nie gorzej, rzeczy stoją w Niemczech i Austryi. Co do szczegółów we względzie pierwszego kraju, czytelników odsyłamy do sumiennej, trzytomowej pracy *Bäuerliche Zustände in Deutschland*, gdzie znajdą mnóstwo wymownego materyału w tej mierze. Pozwolimy sobie przytoczyć kilka wyjątków z pracy późniejszej — z r. 1885. Całe wsie chłopskie wsiąkają w dworskie obszary. „Istniała tu jeszcze przed laty 10—20 miejscowość z zarządem gminnym, szkołą itd.; dziś jej już niema...“ „Leżała tu wioska, lecz mieszkańcy wyemigrowali. Domy sprzedano na rozebranie. Pług orze dawną siedzibę człowieka — jedynie cmentarz świadczy o tem, iż żyli tu niegdyś ludzie...“ „W podobny sposób opowiadają o klęskach napadu mongołów lub wojny trzydziestoletniej... Niemcy stoją już blisko landlordyzmu. Latifundya rosną.“ W Austro-Węgrzech przebieg przybrał inną postać — zamiast zanikania drobnej własności w wielkiej, lichwiarz staje się posiadaczem wielu osad włościańskich, wydzierżawiając je dawnym właścicielom... W prowincyach alpejskich, tym najwybrańszym zakątku chłopstwa, w okresie lat 1873—1882 obdłużenie własności włościańskiej wzrosło o 432 mil. guld., tymczasem wielka posiadłość ziemska spłaciła w 1888—1882 10 mil. długu. Jeszcze gorzej rzeczy stoją w połowie węgierskiej. Obdłużenie roli wśród osad poniżej 10 jochów (jarzm) wynosi $60^{1}/_{5}$ guldenów z jednego jocha; dla osad pomiędzy 10—20 jochami spada już do $26\frac{1}{2}$ guldenów, wreszcie dla majątków pomiędzy 200—1,000 jochów poniża się aż do 25 guld. Nic dziwnego, iż dzięki temu liczba właścicieli ziemskich spadła o 30,5% (z 1,631,000 na 1,133,000)! Warunki techniczne nie pozwalają nam drobiazgowo rozszerzać się nad upadkiem włościaństwa nawet w tak sprzyjających temu stanowi okolicznościach, jak w Norwegii lub Szwajcaryi. Zatrzymamy się tylko nad bardziej interesującemi nas miejscowościami. „Zmniejszenie się rozmiarów gospodarstw włościańskich, czytamy w galicyjskich *Rocznikach statystyki krajowej**), musimy uważać za fakt stały, powszechny i z jednaką niemal siłą występujący w całej Galicyi. Niema bowiem żadnej okolicy, z której nie byłoby doniesień o coraz większem rozdrabnianiu się gospodarstwa.“ W okolicach Krosna liczba gospodarzy potroiła się; dokoła Bohorodczan gospodarstwa zeszły od 1848 r. do piątej części dawnej wielkości, itd. Licytacye przymusowe zwiększają się w tak potężnym stosunku, iż autor odpowiedniego *Rocznika* wyliczył, że gdyby bieg nie uległ zmianie, po latach 13 napróżnobyśmy poszukiwali włościanina. Ciekawe są daty, wykazujące, za jaką sumę dłużną sprzedawano osadę. Otóż w r. 1883 wystawiono na sprzedaż 2 za dług jednego guldena, 3 za dwa, 2 za trzy, 2 za cztery itd. Podobnie troskliwie zebrany materyał posiadamy dla Poznańskiego w pracy p. Nathasiusa (w III tomie *Bäuerliche Zustände*). W okresie lat 1859—1880 liczba gospodarstw sprzężajnych spadła z 48,068 na 39,389. Przed kilku dziesiątkami lat chłop poznański nie znał długu hypotecznego, dzisiaj równa się on $^{2}/_{3}$ wartości ziemi, w niektórych zaś powiatach, np. czarnkowskim, nawet całemu szacunkowi roli. Nathasius przytacza wymowne fakty wsiąkania osad włościańskich w obszary dworskie. W powiecie inowrocławskim całe wsie zastąpiono folwarkami; w obernickim w oddzielnej wsi pozostało zaledwie 2—3 gospodarstw. W Królestwie był czas, gdy wmawiano w publiczność, iż stan włościański wzrasta w siłę. Powoływano się na t. zw. parcelacyę. Przytem wystarczało zapewnienie, iż rozległość ziemi chłopskiej zwiększa się, lecz nie pytano ani o to, kto parceluje się, ani o wzmaganie się długów, ani o podział gruntów. Około r. 1883 odezwały się pierwsze głosy trzeźwiejsze. Niejaki p. M. C. *) pierwszy spróbował zbadać tę rzecz na miejscu. Znalazł, iż obok parcelowania idzie jednocześnie skupianie ziemi chłopskiej przez chłopów. W rezultacie doszedł do następujących wniosków: „Przebywając pomiędzy ludem czas dłuższy, znam dosyć dobrze jego stosunki ekonomiczne i na tej podstawie mogę wyrzec, że wszelkie usiłowania, mające na celu uprzystępnienie nabywania gruntów przez włościan, nie osiągają i prawdopodobnie nie osiągną, przynajmniej u nas, zamierzonego skutku.“ Wykazuje on powstawanie gospodarstw 100-morgowych przy pomocy lichwy i innych środków we wsi Smardzewicach i kilku sąsiednich. Zawsze jakiś gospodarz trudni się tu tem szlachetnem udzielaniem pomocy... Czynniki parcelacyi rozpatrzymy gdzieindziej. Na teraz, dla określenia położenia, posłużymy się słowami p. A. Zakrzewskiego. Jego stanowisko we względzie

*) T. VII, str. 6—7. Fakty dotyczące Galicyi pochodzą z tego wydawnictwa. Porównaj także dr. Jasieńskiego *Nędza ludu.*

*) Korespondencya z pod Ojcowa w *Przegl. tyg.* 1883.

SCENA III.

Regina i Morton.

Regina.

Chyba papież, bo o nim głównie pamięta.

Morton.

Czemuż to jezuita odszedł jak wyżęty?

Regina.

Wyobraź pan sobie, żąda od nas, ażebyśmy nakłonili murzynów do zebrania składek dla papieża i urządzenia mu pielgrzymki.

Morton.

Widocznie jakąś skrzynkę ubóstwa w Watykanie trzeba dopełnić.

Regina.

Serdecznie panu dziękuję za list ostrzegający. Tegoż samego dnia smutny wypadek przekonał nas, że nie jesteśmy dość bezpieczni.

Morton.

Dżak został porwany przez ludzi Tipu-Tipa.

Regina.

Czy rzeczywiście byli to jego ludzie?

Morton.

Niestety, wiem o tem z pewnego źródła.

Regina.

Gala puścił się ze swym oddziałem w pogoń i przepadł bez śladu. Oswobodzona przez niego dawniej dziewczyna, która go ubóstwia i tajemnie kocha, wyszła przed kilku dniami z zamiarem odszukania...

Morton.

Bądź pani na to przygotowaną, że wszyscy trzej, jeśli żyją, spotkają się u Tipu-Tipa.

Regina.

Ach, gdyby grób miał usta, nie przemawiałby zimniej i straszniej od pana. Chyba pan lekceważysz i życie tych nieszczęśliwych i mój spokój...

Morton.

Nie pani, tylko znam położenie i pragnę was ocalić. Piętnaście lat przebywania w Afryce nauczyło mnie rozumieć jej stosunki i obliczać możliwości. Skutkiem tego nie dawno już pozbyłem się tych złudzeń, które pani gęstym obłokiem przesłaniają rzeczywistość. Wierz mi pani, kto tu przybywa z poetycznemi rojeniami, kto chce działać z wzrokiem utkwionym w wielkie cele cywilizacyi, ten co najwyżej zdoła zmarnować własne życie. Wy oboje, a zwłaszcza pani, zapatrzywszy się w podniosłe ideały, nie widzisz wcale, co się naokoło dzieje. Murzynów uważasz pani za baranów, a europejczyków— za zdzierców ich wełny. A tymczasem jedni i drudzy są czemś gorszem.

Regina.

Co do drugich nie mam złudzeń.

Morton.

Gdzie tam! Sądzisz pani, że są przewrotni, ale nie przypuszczasz, że są głupi i przez to bardzo niebezpieczni. Na wybrzeżu Afryki od lat paru zlatują się przedsiębiorcy wszystkich prawie państw europejskich, którzy mniemają, że potrzebują tylko wytarzać się w tutejszych skarbach, jak jeże w jabłkach, a łupy same na kolce im należą. Przekonawszy się o swej omyłce i trudnościach walki, zaczynają pokonywać współzawodników jątrzeniem instynktów ludności czarnej przeciw białej. Dziki człowiek, jak dziki zwierz: podda się woli pogromcy, będzie mu uległ, przez kije skakał, dopóki raz go nie zadrapnie i krwi nie zobaczy. Wtedy rzuca się, rozszarpuje i zagryza. Najświeżsi i najchciwsi koloniści niemieccy budzą nieopatrznie i spuszczają z uwięzi ten drzemiący orkan; jeżeli on rozszaleje się, ich również zgładzi, zwłaszcza że zaskoczy nieprzygotowanych i że ma istotne powody do wywarcia na nich swej wściekłości. Bo to są pogromcy najbrutalniejsi.

Regina.

A niech ich zwieje! Myśmy od nich się odczepili, nas więc za sobą nie pociągną.

Morton.

Przepraszam, ale rozumiejesz pani jak konwalia rosnąca pod lasem, po którym ma przejść trąba powietrzna i wyłamać drzewa. A przytem, jak się pani zdaje, kto ostatecznie rozkiełzna tę burzę i ujmie w swe

parcelacyi i t. d. nadaje temu przyznaniu szczególną wartość. „Po każdym zbiorze chłop przedewszystkiem spieszy do wierzyciela i temu lwią część zostawia, bez względu na to, czy pozostałości długo na życie mu starczą. Zazwyczaj poprzestać musi na zaspokojeniu samych tylko szybko wzrastających procentów, które u naszych lichwiarzy wiejskich nierzadko wysokości sta od sta sięgają. Gdyby nie przepisy prawne, wzbraniające żydom i wogóle osobom niewłościańskiego pochodzenia nabywać ziemię włościańską, ukazem r. 1864 objętą, przestrzeń własności ziemskiej zmniejszyłaby się z przerażającą szybkością *).

Powyższe fakty wykazują niezbicie, iż drobna własność ziemska znajduje się w opłakanym stanie, lecz bynajmniej jeszcze nie dowodzą, iż na przyszłość winna dalej upadać. Wówczas gdy co do rzemiosła konieczność jego bankructwa odrazu rzuca się w oczy, we względzie drobnej własności rolnej potrzebuje ona bardziej zawikłanych wywodów teoretycznych. Rozpatrzeniem tego zajmiemy się w dalszym toku. Przedtem jednak musimy zwrócić uwagę na punkt inny. Mówiąc o włościaństwie, czyniliśmy to, jak gdyby ono stanowiło jednolitą jakąś masę. Tymczasem rzeczywistość jest bardzo daleką od tego. Weźmy np. nasze stosunki. W r. 1874 liczono w Królestwie 694,747 osad włościańskich, w tej liczbie aż 204,705 poniżej 3 morgów; nadto mieliśmy wtedy około 1,200,000 bezrolnych. Mniejsza o to, jak te cyfry wyglądają obecnie, gdyż dla nas najważniejszem jest tutaj, iż wykazują one istnienie bardzo silnych sprzeczności na wsi. Każdy włościanin, odkąd posiada tyle ziemi, że nie potrzebuje żadnego postronnego zarobku, zwłaszcza zaś kiedy poczyna używać najmitów, przestaje stać w jakimkolwiek antagonizmie do dworu. Wprawdzie może tu istnieć nienawiść, lecz będzie ona spuścizną po dawnych „dobrych“ czasach, wynikiem serwitutów i innych nieporozumień z ówczesnej epoki, ale przenigdy przeciwstawności interesów ekonomicznych. Natomiast tego rodzaju włościanin, o ile używa najmitów, staje na przeciwległym biegunie z całą rzeszą bezrolnych i małorolnych mieszkańców wsi. O solidarności interesów niepodobna więc mówić nawet wśród „ludu“ wiejskiego. I tu wrze walka, i tu gnieżdżą się antagonizmy!

K. R. Żywicki.

*) Nr. 21 *Głosu* z 1887 r.

Z GALICYI.

Lwów, 9 lutego.

Koniec sprawy Strzeleckich. — Wynik rozprawy. — Coś, co było w grze. — Kilka szczegółów do ilustracyi. — Iwan Oleksa a Strzeleccy. — Rozmaite zapatrywania społeczne. — Tromtadraci a panowie.

Głośna sprawa Strzeleckich, matki i syna, o morderstwo i rabunek popełniony na osobie ks. Tchórznickiego ukończyła się wreszcie po czterotygodniowej rozprawie. W ostatecznem przemówieniu podtrzymał prokurator oskarżenie przeciw Strzeleckiej w całej osnowie, syna zaś obwiniał jedynie o uczestnictwo w kradzieży, popełnionej przez matkę. Trybunał postawił sędziom przysięgłym cały szereg pytań w kierunku oskarżenia o morderstwo, rozbój i kradzież. Na wszystkie te pytania przysięgli odpowiedzieli jednogłośnie zaprzeczająco a tylko jeden potwierdził fakt kradzieży popełnionej przez Strzelecką. Dzięki temu Strzeleccy po półrocznem prawie więzieniu wyszli z wyrokiem uniewinniającym ich zupełnie.

Charakterystycznem jest, że o takim wyniku nie powątpiewano zaraz od początku. Rodzina i jej krewni tudzież obrońcy, dalej przyjaciele jednych i drugich twierdzili, że Strzeleccy muszą być uwolnieni, bo są niewinni, lub (co częściej się trafiało) „bo nie ma żadnego dowodu, że są winni,“ szeroki ogół zaś utrzymywał, że będą uwolnieni „chociaż są winni.“

Było więc coś w grze, co tej sprawie nadawało odrębne piętno, co wskazywało, że do tych ludzi inną potrzeba (niestety!) przykładać miarę, niż do zwyczajnych śmiertelników. To coś przebijało się w toku śledztwa, podczas rozprawy, w rozmowach prywatnych. Sędzia śledczy oznajmia poufnie agentowi, że musi postępować bardzo ostrożnie, bo brat pani Strzeleckiej ma wielkie wpływy w ministerstwie. Kiedy już musiano zaaresztować Strzeleckich, odwożą ich z niezwykłą delikatnością do więzienia a dyrektor przyjmuje panią Strz. przybraną w strój galowy. W więzieniu otrzymuje oskarżona po kilka razy na tydzień wizyty rodziny, podczas gdy w innych wypadkach nawet raz na kilka tygodni trudno otrzymać zezwolenie. Śledztwo prowadzą z niezwykłym pośpiechem i kończą je co prędzej. Rozprawa z powodu zaciekawienia ogólnego odbywa się za osobnymi kartami, ale wstęp utrudniony dla adwokatów (chociaż wedle ustawy obrońcy nie mogą być wykluczeni) i innych poważnych ludzi a na sali pełno pozłacanej młodzieży, przyjaciół pp. Strzeleckich, którzy z całą swobodą zbliżają się do oskarżonych i rozmawiają z nimi poufale. Co więcej, przewodniczący trybunału tak samo z uprzedzającą grzecznością traktuje uperfumowanych paniczów i w pierwszej części rozprawy stanowczo staje po stronie oskarżonych, używa swej dyskrecyonalnej władzy przeciw prokuratorowi, teroryzuje świadków zeznających niekorzystnie itp. Natomiast, gdy staje przed sądem par austryacki a brat oskarżonej, p. Stanisław Polanowski, temu wolno mówić wszystko, co mu się tylko podoba, oskarżać sąd i sędziego śledczego o gwałt, niedbalstwo i nadużycia, wychwalać siostrę i jej syna, opowiadać rozmaite historye, do rzeczy zgoła nienależące. Ba, ale sam p. P. nazwał siebie „niezwykłym świadkiem.“

To jedna strona. A teraz dalej. Charakterystycznem dla sprawy jest, że obrońcy, nieproszeni o to, wykluczyli z ławy przysięgłych cały szereg ludzi niezawisłych, znanych z niezależnego zdania, charakterystycznem również i to, że wybitniejsi przysięgli z góry zaznaczali się jako obrońcy oskarżonych, że świadkowie w znacznej części albo wprost kłamali lub też zasłaniali się wiecznem „nie pamiętam,“ że wreszcie księża bardzo czynnie opiekowali się tą sprawą a nawet zasięgali u swej władzy wyższej zdania, jak mają zeznawać w sądzie, gdyż własne sumienie dostatecznej wskazówki udzielić nie mogło.

A więc było „coś“ w grze. Prokurator w końcowem przemówieniu doskonale to określił. Powiedział tak: „Gdyby to nie była pani Marya Strzelecka, gdyby jakiego Iwana zamordowano i jemu zabrano kożuch, a następnie ten kożuch znaleziono u Oleksy, nikt by nie wątpił, że Oleksa jest sprawcą — mogę to twierdzić na podstawie 30-letniego mego urzędowania. Nikt by nie wpadł na tę kombinacyę, że Oleksa wziął kożuch w depozyt.“ Miał słuszność. Oskar-

---

ręce jej wodze? Handlarz niewolników, najpotężniejsza siła w Afryce, u nas Tipu-Tip.

Regina.

Czemuż go osadnicy europejscy nie zgnębią, nie wypędzą, nie...

Morton.

Bo on jest tylko jednym kręgiem olbrzymiego węża, bo go się boją, bo (*ciszej*) mają z nim lub innymi handlarzami niewolników tajemne układy.

Regina.

I wy? I anglicy?

Morton.

Wolno mi tylko odpowiedzieć pani ogólnie, że i my... jesteśmy... przez nasze interesy... poniekąd skrępowani.

Regina.

O, ziemio, jakże ty podłością cywilizowaną obrosłaś! Panie Morton, przecie chyba przywiodła cię tu życzliwość dla nas. Co mamy robić?

Morton.

Kiedy tu osiedlaliście się, radziłbym nie drażnić Tipu-Tipa.

Regina.

A teraz?

Morton.

Gdzie ojciec Makary?

Regina.

Wyjechał do Zanzibaru ze skargą na tutejszo Towarzystwo niemieckie, które rozpaja wódką i buntuje naszych murzynów.

Morton.

A teraz radzę państwu, jak tylko ojciec Makary wróci, porzucić wszystko, siąść na mój okręt i uciec dokądkolwiek, gdzie są warunki większego bezpieczeństwa i pomyślniejszej działalności. Z tą radą przybyłem.

Regina.

Musiałabym uwierzyć w nieomylność pańską i wszystkie jej proroctwa, ażeby opuścić to, co stworzyłam i ukochałam. Po za tą osadą, szkołą, lecznicą, pracą dla dobra tych czarnych barbarzyńców nie mam innego celu, nie miałabym czem zapełnić życia i znieczulić serca na ból strasznych wspomnień.

Morton.

Przeniesiesz pani tylko swój cel w inne miejsce.

Regina.

Nie, nie!

Morton.

Winienem pani wytłomaczyć moje natręctwo. My, anglicy podlegamy bardzo niewielu przymusom i dlatego nakładamy sobie dobrowolnie rozmaite obowiązki, jak gdyby dogadzając popędom, odziedziczonym po przodkach, mniej niż my swobodnych. Jeśli nam brak osób bliższych, zwracamy się do dalszych. Na całem wschodniem wybrzeżu Afryki niema ani jednego tak czcigodnego apostoła angielskiego, jak ojciec Makary, ani jednej tak szlachetnej i rozumnej angielki, jak pani. Pochodzicie z narodu, który lubię, spadliście tu, jak dwie zbłąkane gwiazdy po to tylko, aby ludziom jaśnieć, nikt was nie broni, a wszyscy nienawidzą; jesteście parą sierot i tułaczów... Oto powody, które mi każą być waszym przyjacielem. Mój ojciec i poprzednik na Madagaskarze z długoletnim uporem i znacznym kosztem kształcił w Londynie murzyna, którego chciał zrobić znakomitym inżenierem a który ucywilizował się tyle, ile pawian w licznie odwiedzanym ogrodzie zoologicznym. Mnie opanowała słabość dla was.

Regina (*podając mu rękę*).

Szczera życzliwość pańska rozrzewnia mnie, ale czy ona nie powiększa panu naszego niebezpieczeństwa?

Morton.

Ono jest groźniejsze i bliższe, niż sądzą nawet ci, którzy go oczekują. Moja szczerość w ostrzeżeniu was musi się zatrzymać na tym punkcie, w którym dotknęłaby tajemnic mojego urzędu. Jeśli tedy robię wrażenie człowieka życzliwego, to zawierz mi pani, że nie przyjechałem tu z Madagaskaru dla lekkomyślnego nastraszenia was przywidzeniem. (*Wsuwa się Wańka*).

(D. c. n.).

żonym nie był Olcksa, tylko pobożna i zacna pani Strzelecka. To też pobitego księdza zrobiono waryatem a o pani Strzeleckiej powiedziano, że wzięła 80 tysięcy złr. w depozyt. Jeden z księży słuchanych w tej sprawie powiedział nawet wprost (nie pomnę już, czy przed sądem, czy w rozmowie prywatnej): Bogiem a prawdą, to Strzeleckim majątek się należał. Pani Strz. tak chodziła koło ks. Tchórznickiego przez 40 lat, żywili go, pielęgnowali, troszczyli się o niego (nb. rozprawa wykazała wręcz przeciwnie) — a to taki nieużyty człowiek! Inny znów głos— jakby echo z ławy przysięgłych— tak brzmiał: dla takich państwa to już dość kary, że siedzieli kilka miesięcy w więzieniu i tu się męczą przez tyle dni — przecież ksiądz żyje, a majątek oddany. Nie ma rady, są dwie miary; jedna dla Iwanów, Olcksów itp. druga dla „państwa.“ To właśnie nadaje tak wybitną cechę całej sprawie, to jest, powiedzmy otwarcie, zatrważające i straszne. Nikt nie idzie tak daleko, ażeby dla występku jednostek potępiał całą klasę lub też odmawiał istotnej zasługi komuś, który należy do t. z. wyższej sfery; ale uchylanie czapek przed jakimś uprzywilejowanym bez zasług osobistych tylko z tytułu urodzenia lub wysokich koligacyi—jest czemś wysoce ubliżającem dzisiejszym pojęciom społecznym, jest anachronizmem, którego dość potępić nie można. Jeżeli zaś nadto należenie do pańskiej rodziny sprawia, że czyny zbrodnicze lub niemoralne jej członków wedle innej zupełnie modły bywają oceniane, aniżeli takież same czyny innych jednostek, to doprawdy zwątpić można o moralnych pojęciach społeczeństwa całego, które tak wyrokuje.

Ale dość już o tej nieszczęsnej sprawie. Kto jasno i bezstronnie patrzy, ten wie, że prawda jest jedna. Można zapomnieć wiele, nie dojrzeć rozmaitych szczegółów i drobiazgów, ale prawda zostaje niezachwianą. Kto po kilkakroć zmienia odpowiedź na to samo pytanie, ten nie chce powiedzieć prawdy, bo ma powód do ukrycia jej. Kto skarży się na tyranię, chociaż się z nim obchodzą w sposób uprzedzający, kto rzuca na drugich niejasne podejrzenia, aby je od siebie odwrócić, ten sam nie jest czysty, kto wreszcie olbrzymią sumę pieniędzy zabiera od umierającego i robi z tego tajemnicę przed rodzoną siostrą, ten miał powód do tajemniczości. Taka jest opinia bardzo poważnych i nieuprzedzonych ludzi — mimo werdyktu sędziów przysięgłych.

Nie mogę pominąć jeszcze jednej uwagi jako epilogu w tej sprawie, której znaczenie w poprzednim liście skreśliłem. Pomijam to, że w pół godziny po wypuszczeniu z więzienia p. Strzelecki pokazywał się w jednej z pierwszorzędnych cukierni tutejszych w chwili, kiedy dopiero czytano dzienniki donoszące o przebiegu rozprawy i kiedy takie bohaterstwo było co najmniej niesmaczne. Ciekawsze, że jeden z jego przyjaciół czytając tamże werdykt głośno się odezwał: „to jedno „tak“ (jeden głos za winą p. Strzeleckiej) powiedział pewnie jakiś tromtadrata.“ Pokazuje się więc jasno, co wyżej zaznaczyłem, że widocznie moralne pojęcia u tromtadratów, *vulgo* warcholów, są inne, aniżeli u panów. Jak to dobrze, że literaci bywają zaliczani do tamtej pierwszej kategoryi!

Leszek.

LISTY KRAKOWSKIE.

Żałoba. — Jej następstwa. — Bukiet z cieplarni *Czasu*. — W przededniu wyborów — Dążenia stronnictwa postępowego. — Dobroczynność z tamą. — Różne ruchy, a między nimi umysłowy i artystyczny. — P. Glückssohn i jego teatr.

Miasto w żałobie. Śmierć następcy tronu przygnębiła mieszkańców, wstrzymała ruch i handel obok wzmożonego obrotu pytań i domysłów. Jak początkowo nie wierzono w śmierć z udaru serca, tak teraz mimo zapewnień dzienników urzędowych, nie wierzą w samobójstwo, a gdy dzień każdy przynosi nową wiadomość, ludzie tem goręcej domagają się prawdy. Nie znamy jej i nie docickamy, chociaż nam blizko do Wiednia i Mayerlinga, chociaż ocieramy się o najlepiej powiadomionych, którzy z pewnego źródła oznaczają płeć, dzień i godzinę przyjścia na świat pogrobowca Rudolfa.

Do cesarza złamanego cierpieniem, popłynęła pieśń żałobna, której nawet proboszcz z Florirsdorfu Eichhorn nie mógł zamącić tem, że za zmarłego nie chciał odprawić nabożeństwa. Proboszcz zna ym jest z napaści, jakie dziwnie śmiało i czelnie urządza w parlamencie.

Żałoba wstrzymała rozpędzone nogi miłosierne; odroczono dobroczynne bale a patronki dwakroć przygnębione ze łzami spoglądają na przygotowane tualety. Ubodzy, których właśnie bale rujnują, niewątpliwie na tem zyskają.

Ciekawość nasza zwolna się zaspokaja; sędziowie przysięgli we Lwowie uniewinnili Strzeleckich, oswoiliśmy się z widokiem nowo uksiążęconego biskupa, kupujemy buty u fabrykanta z Mödling, głos namiestnika przejmuje nas dreszczykiem i uszanowaniem, a czytając w *Czasie* sprawozdanie z lwowskiego balu „marszałkowskiego“ o mało nie pęk...

Przepraszam, ale uszczknę kilka kwiatków z artykułu, który zajmował na długość 51 centimetrów.

„Młodzi posłowie przybyli z młodemi żonami, przyczynili się do uświetnienia początków karnawału. Gospodyni w sukni adamaszkowej *crème* z uśmiechem i dla każdego uprzejmem słowem... O godzinie 10 marszałek przy dźwiękach królewskiego tonami swego poloneza Chopina... która oczami przypominała chyba niezrównaną swą babkę... a tej znana posągowa piękność jak greckie biegu czasu nieznająca i toaleta srebrnopopielata poważny nastrój artyzmu rozlewały w koło siebie... sunęła delikatna postać hrabiny... jej paryski wdzięk i filigranowa kibić pasterek z sewrskich waz epoki Ludwika XV... blask jej sali całej światła dodaje, na rozsypujących się w aureolę złotych włosach lśni... a urok i wdzięk oczów mówią, że to tylko S. być może... hr. T. wygląda jakby zeszła z jakiego portretu... a za nią sunie pani I. o przedzie... jednej nadewszystko brakuje, która lwowskiemu świetnemu towarzystwu daje... a której paryski styl i niezrównana klasyczność kibici, jak wieść niesie, do desperacyi doprowadzają wszystkie zagraniczne rywalki strojów od Wortha, hr. S. B... nietańczące towarzystwo bawi się rozmową i czeka na koniec pokrzepienia sił tancerek... Pysznie i obiecująco rozpoczął się nim tegoroczny karnawał, który urokiem i uprzejmością towarzystwa miejscowego coraz liczniejsze gromadzi zastępy przyjezdnych, a żal i zazdrość budzi w tych, którzy na krótko tylko mogą zakosztować takich wykwintnych, światowych rozkoszy przez wdzięk dam, serdeczne przyjęcie młodzieży, a wytworność i towarzyskie zalety w wyższym stylu wszystkich razem.“

Oto co przepisałem dosłownie; wiedzcież, że takie kwiatki wąchamy prawie codzień, ubierając nimi przód hrabiny lub skroń rodaka nieocenionego.

Niedługo tej ciszy i spokoju, wśród których obecnie żyjemy; zbliża się pora wyborów poselskich, wielkie święto namiętności i brudów obywatelskich, polityczny karnawał krakowski. Stronnictwo postępowe otwarcie wyjawiło swoje zapatrywania, określiło dążenia zachowawcom na poprzek. Podnosić lud na coraz wyższe szczeble oświaty, moralności, dobrobytu, cywilizacyi i obywatelstwa, ze względu chociażby sprawiedliwości społecznej, wytrwale i ofiarnie popierać przemysł polski, podźwignąć miasta, podnieść i wzmocnić mieszczaństwo, nadając mu wybitniejsze stanowisko w sprawach krajowych. Rzeczą postępowego obozu jest przełamać ową wyłączność w dzierżeniu steru spraw publicznych przez jedną uprzywilejowaną a prawem zrównaną kastę, wprowadzić żywioły nowe, nie spychając jednak tych, którzy drogą prawdziwej zasługi zajęli stanowiska publicznego zaufania. W miejsce tych, którzy do życia publicznego oprócz firmy rodowej lub pieniężnej nic zresztą nie wnieśli, a kładą się kamieniem na drodze postępu, postawić żywioły nowe, które wniosą doń zasoby inteligencyi, pracy i świeżych a postępowych poglądów.

Dąży dalej do zmiany stanowiska, jakie zajmuje poselstwo polskie w Wiedniu, które będąc stronnictwem rodowem, nie śmie stawiać ani żądań, ani warunków, a dopóki ministeryum wie zgóry, iż zawsze liczyć może na głosy posłów polskich, póty kraj będzie musiał zadawalniać się pozorem jakiegoś niby bardzo poważnego stanowiska w polityce austryackiej, łudzić się objawami schlebiającymi próżności pewnych jednostek, ale nie odniesie rzeczywistych pożytków z polityki niesamodzielnej, w obronie interesów kraju niestanowczej, a nieśmiałej w obronie zbyt często naruszanych praw i swobód obywatelskich.

Reforma gminna domaga się rychłego przeprowadzenia i równiejszego rozkładu ciężarów gminnych, szkolnych, drogowych, kościelnych i tylu innych, które niesprawiedliwym wymiarem obarczając włościaństwo, są powodem ciągłych skarg i utyskiwań, przeszkodą dojścia do harmonii w kraju. Należy zaprowadzić urządzenia chroniące mienie, zdrowie i życie ludności, która za olbrzymie podatki nie ma ani w drobnej cząstce tych korzyści, jakie gdzieindziej państwo cywilizowane daje najbiedniejszemu ze swych obywateli.

Ale żeby dokonać owych reform, trzeba reformy sejmu. Dzisiejsza przewaga żywiołów zachowawczych, to jedna z największych przeszkód rozwoju naszego kraju; dążyć zatem należy, by sejm nie wyglądał na reprezentacyę jednej tylko warstwy społecznej i jednych interesów, ale żeby był istotnym przedstawicielem całej ludności kraju.

A zatem ciszy i spokoju niedługo! Doczekamy się gorączki wyborów, która ze względu na nasz temperament, powinna dojść do tej samej kreski, jaką odczytał świat na paryskim ciepłomierzu.

Do tej pory wymyślimy niejedno; na teraz udał się nam komitet, który zbiera kapitał dla Matejki. W odezwie, tchnącej uwielbieniem dla ofiarności mistrza, wzywają do składek, z tem jednak zastrzeżeniem, że nie wolno dawać więcej nad jednego guldena. Dlaczego nie wolno? Nie wolno dlatego, aby ogół, aby wszyscy bez wyjątku mogli przyczynić się do szlachetnej ofiary. Dlatego?

Nie rozbierając pytań, jakie się nasuwają, sądzimy, że nasz komitet zawiązał się przykładem czechów, składających Riegerowi przeszło sto tysięcy złr., uzbieranych w ciągu dni kilkunastu. Dotąd, jak mówią w operetce: wszystko w porządku; pójdziemy za przykładem czechów, będziemy zbierać, a chociaż nieprzyzwyczajeni do zatamowanej dobroczynności, złożymy po jednym guldenie i... Daję kropki, bo nie mam prawa dzielić się własnemi przeczeniami z publicznością. Na ten cel złożono już kilka złr.; wątpimy o rozrzewnieniu mistrza w chwilach, kiedy odczytuje imienne spisy w rubryce pod swojem nazwiskiem.

Oprócz ruchu handlowego, spacerowego i robaczkowego, rozróżniamy w Krakowie jeszcze tak zwany: umysłowy i artystyczny. Te dwa ostatnie rozumiałem dotąd po swojemu i w miarę objawów dzieliłem się nimi. Dzisiaj ze zdziwieniem poznaję własną

nieświadomość, czytając regularnie w *Czasie* pod nagłówkiem: „Ruch umysłowy i artystyczny“ wiadomości, jak: słynny czarnoksiężnik egipski X. bawi obecnie w Y., gdzie występuje z wielkiem powodzeniem; zapowiedzi przyjazdu do Krakowa owego czarnoksiężnika, a kiedy wreszcie przyjechał, drukowano tam stopniowanie przymiotników od niezrównanego do przepysznego. Czytałem o balecie drezdeńskim i rozgłośnej sławie „impresaria“; zachętę do rozkupywania biletów, bo kuglarz wyraża się płynnie po niemiecku i potrafi być nawet dowcipnym.

Ot, cały błąd w tem, że pomyliłem „ruchy“ i robaczkowy wziąłem za umysłowy.

Dlaczego ta reklama dla teatru jest równie zręczną, jak wstrętną, zrozumie ten, kto zblizka patrzy na tę gospodarkę tak niezmiernie podobną do owego nie sumiennego arendarza, który kosztem lat przyszłych i krzywdą właściciela ciągnie zyski z gleby, by ją na termin wyjałowić. Z dziwną odwagą i wiarą w osłonięte plecy i w spryt wrodzony, z znajomością przynęty a bez znajomości sztuki, z pewnością nieopartą ani na wykształceniu, ani na szlachectwie ducha, prowadzi przedsiębiorca teatr, instytucyę czczoną u nas odrębnym kultem, instytucyę narodową. Na scenie, skąd niedawno artyści słowem autora ogrzewali serca i oświecali umysły, dzisiaj niemieckie błazny rozweselają kucharki i trzęsą brzuchami piwoszów; po sztukach głębszych, które trącały o zagadnienia i prawdę społeczną, po języku jędrnym i czystym, słyszymy bełkot, volapück stworzony w przekładzie z francuskiej ramoty, w której akcya jak owca w kołowaciźnie kręci się wiecznie koło pohańbionej łożnicy.

Z tym rokiem upływa termin dzierżawy teatru przez p. Jakóba Glücksohna; spodziewamy się, że władze w poczuciu własnej godności i obowiązku, nie oddadzą nadal sceny w ręce tego, który teatr traktuje jak... propinacyę.

Mor.

SPRAWY EKONOMICZNE.

NOWE ULGI.

Władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego podnoszą projekt nowych ulg dla rolników. Głównie tu chodzi o zaniechanie ściągania wykazów hypotecznych na rachunek właścicieli ziemskich w czasie postępowania sprzedażnego. Od lat niespełna 30 koniecznem było dostarczanie wypisów całkowitych wykazów z trzech następujących powodów: a) pomieszczanie w warunkach licytacyjnych, na zasadzie wykazu hypotecznego, nazwy wszystkich nomenklatur, z jakich złożone są dobra; b) porównywanie, czy wykaz zamieszkań nie obejmuje wierzycieli, których prawa weszły do wykazu hypotecznego, po zapisaniu ostrzeżenia o sprzedaży; c) zasięganie wiadomości, na jakie części i z jaką nazwą hypoteczną podzielone są dobra. Po wzięciu bowiem pożyczki właściciel bez zezwolenia Towarzystwa może część dóbr oddzielić i w osobnej księdze wieczystej uregulować, przy uczynieniu wzmianki o niepodzielnej odpowiedzialności. Wówczas potrzeba w obu księgach wpisać zastrzeżenie, że dobra łącznie wystawione są na sprzedaż, jako niepodzielnie odpowiedzialne za pożyczkę Towarzystwa. Nowy projekt nieściągania wykazów hypotecznych zamienia trzy wzmiankowane punkty następującymi sposobami: W razie sporów lub wątpliwości podstawą rozstrzygającą będą warunki licytacyjne, złożone do księgi wieczystej, warunki zaś składane do hypoteki obejmują wyszczególnienie tylko głównych dóbr z przyległościami i przynależytościami, wymienionemi w wykazie hypotecznym. Dopiski te jednak są powodem pomyłek w ogłoszeniach i zawiadomieniach. Punkt drugi upada pod długoletniem doświadczeniem, przekonywającem, iż sekretarze wydziału hypotecznego w wykazach zamieszkań nigdy nie pomieszczają wierzycieli, których prawa weszły do wykazu, po zastrzeżeniu o sprzedaży. Gdyby jednak przez pomyłkę był zawiadomiony wierzyciel, mający prawa późniejsze, koszt stąd pochodzący jest tak mały, że stowarzyszony najmniej potrójnie zyska, jeśli na rachunek posiadłości nie będą ściągane wykazy hypoteczne. W ostatniem punkcie nie są potrzebne wykazy hypoteczne. Wystarczy tu przejrzenie za pół roku skorowidza ksiąg wieczystych w hypotece utrzymywanego. Obecny wykaz zamieszkań wierzycieli da się uzupełnić w ten sposób: obok pożyczki, wykazującej wierzytelności Towarzystwa, sekretarz wydziału hypotecznego powinien umieszczać w uwagach, czy pożyczka zabypotekowaną jest niepodzielnie, na jakich innych częściach i jakie są ich nazwy. Zanim powyższy projekt wejdzie w życie, dyrekcya szczegółowa w Warszawie (według sprawozdania *Kuryera codziennego*), poczynając od egzekucyi za ratę poborową z roku 1888, wstrzymuje się od ściągania wykazów hypotecznych, a wprowadza od bieżącego półrocza skrupulatne sprawozdania skorowidza w hypotece co do ksiąg wieczystych.

Z. P.

LISTY Z NAD BALTYKU.

Handel gubernii nadbałtyckich. — Bałtyk a morze Czarne. — Zmiana roli. — Nadzieje na przyszłość. — Statystyka handlu zewnętrznego Rosyi, Libawy i innych miast nadbałtyckich. — Przemysł.

Jeżeli zwrócimy zwierciadło ku odległym dniom dziejów nadbałtyckich, to ujrzemy w niem, iż powstanie tutaj „niemieckiej ojczyzny“ jest w związku z handlarskim gescheftem. Założone przez kupców niemieckich miasta, wciągnione w sieć interesów związku hanzyatyckiego, służą jako tłoki, które bogactwa Wschodu w niemieckie przelewają spichrze. Od dawien dawna, prócz wyzysku ubogiej ludności miejscowej, która zresztą po przetrzebieniu przez bliższą jej szlachtę rycerską nie przedstawia dla kupiectwa zbyt podatnego do udoju inwentarza, mieszkańcy grodów nadbałtyckich wiedli dość ożywiony handel z Pskowem, Nowogrodem, Włodzimierzem i innemi miastami późniejszego państwa ruskiego. Rolę handlową Bałtyku potęgowały coraz to liczniejsze ruchy niespokojne hord łupiezkich po szerokich przestworzach obecnej Noworosyi, które raz wraz utrudniały, wreszcie uniemożliwiały stosunki z Południem i Zachodem przez Dniepr i morze Czarne. Krótkotrwało atoli stosunki z Południem wydały wiele owoców dla Rosyi; stamtąd przenikały promienie zachodzącego słońca kultury bizantyjskiej. Z czasem i tam zmieniły się stosunki. Ale czy dzierżony przez niemców Bałtyk zastąpił ową dawną drogę? Bynajmniej; osiedli nad jego wybrzeżem „kulturträgerzy“ przepuszczali przez sito samolubstwa i własnego interesu to tylko nasiona kultury zachodniej, które w Rosyi kąkol ich wyzysku wyhodować były w stanie. I tak, długo spełniali nadbałtyczanie wobec Rosyi rolę celników, pobierających sowite myto za przywożone i wywożone z tego kraju towary. Tę dogodną rolę odgrywali oni bardzo długo. Ostatnio atoli, właśnie kiedy jako obywatele wspólnego państwa mają po temu pewne upoważnienie, powstały okoliczności, które handel ich pozbawiają w pewnym stopniu cech maklerskich. Ryga i Rewel do ostatnich prawie czasów całkowity handel zagraniczny Moskwy i innych środkowych miast Cesarstwa trzymały w swem ręku. Wraz zaś z Libawą trudniły się zbytem zboża aż od kresów biegu rzek Wołgi, Donu a nawet Dniepru. Dopiero ostatnio budowa nowego kanału w Petersburgu, czyniąca go pierwszorzędnem miastem portowem, udoskonalenia techniczne, zastosowane w portach czarnomorskich, uregulowanie taryf kolejowych znacznie zwęziły obręb oddziaływań miast bałtyckich. O ile okoliczności te leżą w granicach objawów przyrodzonych, trudno wpływ ich nazwać inaczej, niż słusznym. Cokolwiek odmiennie przedstawia się sprawa przepisów, mających za cel przymusić handel zagraniczny, by innemi płynął drogami, jak te, które na Rygę i Rewel wiodą.

Pod wpływem tych okoliczności, oraz pod naciskiem obecnej polityki handlowej, handel nadbałtyckich miast istnieje, a raczej wegetuje w coraz to bardziej ścieśnionych ramach. Wprawdzie ostatnie lata pozwalają stwierdzić poniekąd polepszenie w tym względzie, wprawdzie „stałe“ i „wciąż“ budująca się, lub słuszniej naprawiana, chociaż jeszcze nieoddana na użytek publiczności, kolej inflancka z Rygi do Pskowa, z odnogą do Dorpatu, rokuje zwiększenie dowozu zboża z nadwołżkich wybrzeży do Rygi. Załączamy tutaj niektóre dane liczbowe, które handel głównych ognisk ilustrują. Handel zewnętrzny Rygi wynosił w r. 1882 — 94 mil. rs., w 1883 — 75 mil. rs., w 1884 — 76 mil. rs., w 1885 — 86 mil. rs., w 1886 — 64 mil. rs. Handel Libawy, jak wiadomo, przed niedawnym czasem, dzięki kolei libawo-romeńskiej i ulepszeniom uskutecznionym w porcie, rozwijać się począł. Od r. 1871, w którym wartość przywozu i wywozu wynosiła ogółem 2.1 mil. rs., stale wzrasta handel libawski aż do r. 1883, w którym obrót wynosił 65 mil. rs., w roku następnym już 53 mil. rs., w 1885 r. — 43 mil. rs., w 1886 r. — 36.6 stanowiły wartość zewnętrznego handlu tego portu. Ocenę roli i innych portów nadbałtyckich prowincyi wywnioskować może czytelnik z następujących danych, dotyczących r. 1879 i obejmujących wartość przywozu i wywozu: Rewel 107 mil. rs. (w owym roku handel zewnętrzny Rygi wart był 106 mil. rs.), Pernawa 7.6 mil. rs., Port bałtycki 4 mil. rs., Windawa — 1 mil. rs. Główne przedmioty wywozu stanowią zboże, drzewo, len, siemię lniane, okowita; przywożą zaś głównie: metale, machiny, bawełnę, węgiel kamienny itd.

O przemysłowej działalności gubernii nadbałtyckich, pomijając rolnictwo, któremu poświęciliśmy oddzielny list, niewiele naogół powiedzieć można. Fabryki opierają się głównie na przeróbce materyałów zagranicznych i jako takie, wobec coraz to wyższych murów cel granicznych, otaczających Rosyę, z trudnością wiodą swój żywot. W miastach kwitną wyroby rzemieślnicze, wytwór rzetelnego, pracowitego i wykształconego majstra.

Statystykę przemysłów, nieobciążonych akcyzą państwową, podajemy według danych z r. 1879: liczba fabryk w Estonii wynosiła 16, wartość wytworu 11.3 mil. rs., liczba robotników — 5,526; w Inflantach istniało 255 fabryk, z wytworem wartującym 20.1 mil. rs., i zatrudniających 12,840 robotników; odpowiednie liczby dla Kurlandyi są: 94 fabryk, 1.2 mil. rs. i 2,625 robotników. Zbyt wyrobów nadbałtyckiego przemysłu znajdują głównie wewnątrz tych prowincyi oraz na rynkach Cesarstwa.

A. Rosset.

LITERATURA I SZTUKA.

PAMIĘTNIK SCENY W WIELKOPOLSCE.

(W. KORYZNA).

Naruszenie funduszu żelaznego, którego procenty miały pokrywać niedobory teatru w Poznaniu, wydzierżawienie sceny nie-

mieckiemu przedsiębiorcy p. Winterowi, obojętność warstwy szlacheckiej w Wielkopolsce dla własnego ogniska sztuki dramatycznej, zwróciły na siebie uwagę ogółu w ostatnich miesiącach. Pytano się wzajemnie, czyżby owe zjawiska były nowym dowodem zwyrodnienia i upadku owej prastarej dzielnicy słowiańskiej. Dawano odpowiedzi za i przeciw, a wśród owej sprzeczki pojawiła się książka, powyższem mianem ochrzczona, zupełnie przedmiotowo, spokojnie i bezstronnie, na podstawie faktów i cyfr kreśląca dzieje teatru w Poznaniu od końca przeszłego wieku aż po dzień dzisiejszy.

Aż po rok 1870 nie miał Poznań własnej, stałej sceny, choć w Wielkopolsce urodził się i odebrał wychowanie Wojciech Bogusławski. Przybywały tu tylko na krótki czas trupy aktorów z Warszawy lub Krakowa, bądź skądinąd. Nigdy nie pozwolono im gościć dłużej, niż kilka miesięcy; rząd pruski bowiem stawiał stałej scenie przeszkody, uporczywie popierając natomiast niemiecką.

Wzmianka o teatrze w Poznaniu pojawia się po raz pierwszy w 1784 r.; przedsiębiorcą był niejaki Srokowski. W 1796 r. powodziło się tu wcale nieźle Truskolawskiemu; w r. 1800 zachęcony tem Bogusławski, zjechał latem. Odwiedziny te powtarzał do 1810 r., opłacając się za rządów pruskich niejakiemu Doebbelinowi, przedsiębiorcy teatru niemieckiego, który od ministeryum uzyskał wyłączny przywilej na dawanie widowisk w Wielkopolsce i Prusach południowych. Ów „koeniglich preussischer Generalpriviligirter Schauspiel-Direktor“ niemałą ilość talarów wyciągnął z kieszeni Bogusławskiego. Od 1815 do 1826 r. różne trupy wędrowne uszczęśliwiały Poznań swą obecnością; później aż do 1838 r. zakaz policyi położył tamę wszelkim przedstawieniom w języku polskim. Później znowu udało się przedsiębiorcom owo pozwolenie wykołatać pod warunkiem, że trzecią część dochodu *brutto* będą opłacać niemieckiemu dyrektorowi.

Około 1840 r., w czasie niesłychanego rozbudzenia ruchu umysłowego w Wielkopolsce, poczęła kiełkować w Poznaniu myśl założenia stałego teatru. „Jak gdyby z historycznej konsekwencyi — powiada Wężyk — wykładu publicznego estetyki przez utalentowanego dr. Karola Libelta, przy końcu 1842 r. niektórzy mieszkańcy Poznania zanieśli prośbę do rządu o pozwolenie na stałe Dyrektorstwa nad Towarzystwem dramatycznem na imię pana Chełchowskiego.“ Rząd nie udzielił mu pozwolenia pod pozorem, że nie był poddanym pruskim, nie chciał jednakże wręcz odmówić pragnieniom i życzeniom poznańczyków, polecił więc dyrektorowi teatru niemieckiego, Vogtowi, utrzymywać przez rok 1843 i trupę polską. Ten ostatni zgodził się na to, zapewniwszy sobie od obywateli stałą zapomogę. Artyści polscy przecież pod przewodnictwem Zygmunta Anczyca „zaczęli występować po Nowym roku (1843) w licbych sztuczkach — „licho granych.“ Okoliczność ta wzbudziła niechęć, a gdy Vogt zażądał podwyższenia zasiłku pieniężnego, obywatele zawiązali „Opiekę teatralną“ dla „usamowolnienia sceny i utrzymania jej niezawisłe pod własnym sterem.“ Później cała ta sprawa upadła pod wpływem niechętnych lub obojętnych, których było pełno; tak więc tylko przez kilka miesięcy ówczesnego roku Poznań miał stały teatr. Odtąd aż po rok 1860 zjeżdżał teatr krakowski. Prócz tego w 1848 r. zawiązał się teatr amatorski, który mógł przekształcić się zwolna w stałą trupę, gdyby nie kłótnie osobiste; rok 1852 widział upadek tego towarzystwa, początkowo świetnie rokującego nadzieje.

W 1869 r. zaprowadzono w Prusach nową ordynacyę wyborczą, na mocy której odtąd „nie wolno wykluczać rządowi przedstawień w języku polskim.“ Myśl więc założenia stałego teatru w Poznaniu podniosły naprzód dzienniki, później zaś samo społeczeństwo żywo i gorliwie zajęło się tą sprawą. Zaczęto zbierać składki, a zarazem postanowiono pracować w dwóch kierunkach: nad ustaleniem sceny w Poznaniu i nad budową gmachu teatralnego. Zawiązał się odpowiedni komitet, który zajął się utworzeniem spółki, mającej na celu wzniesienie w Poznaniu budynku dla stałego teatru. Kapitał zakładowy oznaczono na 60 tysięcy talarów, rozłożonych na 1,200 akcyj po 50 talarów. Prócz tego składki po 1875 r. wyniosły 34,000 talarów.

Z początkiem kwietnia 1873 rozpoczęto budowę teatru na ulicy Berlińskiej. Plany sporządził budowniczy Hebanowski, które zatwierdził słynny budowniczy wiedeński Semper. Później przecież już po wybudowaniu (21 czerwca 1875 r.) okazały się liczne strony ujemne tych świetnych planów, a mianowicie wielka i zbyteczna ilość drogich miejsc, które zwykle świecą pustkami, oraz źle zbudowane sklepy pod widownią, przeznaczone początkowo na lokal restauracyjny. Koszta nadto znacznie przewyższyły obliczenia poprzednie tak, że ujawnił się niedobór 21,000 talarów,

P. Koryzna na podstawie wiarogodnych liczb uwydatnia również nieodzowną i coroczną różnicę między dochodami a wydatkami sceny poznańskiej. Podczas gdy dochody Spółki teatralnej wynoszą 10,000 marek (przedsiębiorca teatralny zabierał dawniej dochody z przedstawień), wydatki dosięgają 20,573. Dodać do tego należy reperacye, które rocznie wynoszą 2,000 marek; w ten sposób deficyt dochodzi do 12,000 marek. Otóż „fundusz żelazny,“ przynoszący jako depozyt 4% rocznie, musiałby wynosić 300,000 m., gdyby miał pokryć w zupełności ów niedobór. Tymczasem ów kapitał z końcem czerwca 1887 r. liczył zaledwie 99,177 marek. Odtąd do pory niniejszej (do końca 1888 r.) powiększył się o bardzo małą kwotę. Niema więc nadziei, aby przez dalsze składki zebrała się w pewnym, krótkim okresie czasu suma 300,000 marek. Nadto z dniem 1 lipca 1887 r. pozostało z funduszu żelaznego w gotówce 41,063·88 marek. Zarząd Spółki bowiem, aby nie zamknąć teatru, widział się zmuszonym zaczerpnąć z niego od r. 1882 do końca czerwca 1887 r. 58,113·27 marek pożyczki w celu pokrycia zaciągniętych długów. Wśród społeczeństwa tedy wielkopolskiego błąka się myśl *corocznych* składek w celu wyrównywania *corocznych* niedoborów. Czy myśl ta wejdzie w życie, nie wiemy.

Równocześnie z zabiegami o wzniesienie budynku teatralnego Wielkopolska postarała się o stałą scenę. Rok 1870 stanowi przełom pod tym względem. Pp. Lech Nowakowski i Miłosz Sztengel są przedsiębiorcami pierwszej stałej, miejscowej trupy. Pierwszy z nich niebawem sam kieruje samodzielnie sceną poznańską aż do roku 1872. Później widnieją w liczbie dyrektorów nazwiska: Stanisława Dobrzańskiego, Zygmunta Sarneckiego, Zygmunta Jaraczewskiego, Karola Doroszyńskiego i Władysława Terenkoczego. Doroszyński aż do r. 1881 kierował sceną, której zawdzięczał i rozgłos i majątek. Od 1 grudnia 1881 r. objął dyrekcyę Łucyan Kościelecki, a wreszcie Aleksander Podwyszyński. Od 1 października 1883 do 1888 r. włącznie, a właściwie do chwili dzisiejszej, prowadzi teatr Spółka na własny rachunek pod przewodnictwem swego dyrektora, p. Franciszka Dobrowolski. Materyalne jej powodzenie jest bardzo słabe; moralnie sprawa przedstawia się lepiej. W każdym razie przecież dużo winien tu ogół, a zwłaszcza warstwa zamożniejsza, która niedostatecznie i nielicznie uczęszcza do teatru.

A. Witski.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 9 lutego.

Tragedya na dworze austryackim. — Indywidualność arcyksięcia Rudolfa a atmosfera wiedeńska. — Echa z pogrzebu Rudolfa. — „Oesterreich-Ungarn in Wort und Bild.“ Zbiór drzeworytów i ksylografowie polscy. — Tisza i rozruchy peszteńskie; jak w Węgrzech bronią praw narodowych. — Autorowie wiedeńscy: Saar'a zbiór noweli „Schicksale,“ Maryi Ebner-Eschenbach „Miterlebtes,“ Berty Suttner „Schriftsteller-Roman.“

Śmierć arcyksięcia Rudolfa zmieniła nie do poznania fizyognomię Wiednia, gotującego się właśnie do godów karnawałowych. Począwszy od chwili, kiedy rozeszła się pierwsza wiadomość o zgonie następcy tronu, ludność codziennie zbitemi masami zalegała ulice, wyrywając sobie z rąk nadzwyczajne wydania dzienników i dzieląc się wiadomościami ustnemi. Orzeczenie lekarskie, podpisane przez profesorów Hofmanna, Kundrata i Wiederhofera, starało się fakt samobójstwa wytłomaczyć nieprawidłowościami czaszki i zmianami w mózgu, a więc zboczeniem umysłowem. Zrobiono to dla Kościoła.

Zdaje się atoli, że arcyksiążę popełnił samobójstwo przy zmysłach zupełnie zdrowych, a nawet że oddawna je przygotowywał. Nie czuł się on stworzonym na panującego. Wychowany na życzenie cesarza przez profesorów uniwersytetu, w duchu liberalnym i postępowym, miał zbyt wysokie pojęcie o obowiązkach władcy, ażeby nie czuć dysproporcyi pomiędzy siłami swemi a zadaniem monarchy Austro-Węgier u schyłku bieżącego stulecia. Nadto, miękka natura jego upodobniła się zupełnie do ludowej atmosfery wiedeńskiej, której psychologia wielce jest zajmującą, a na samobójstwo arcyksięcia rzuca wiele światła. Humor, goniący za rozrywkami, dowcipkujący wiecznie; pewna sentymentalność, stawiająca miłość na czele wszystkich spraw życia; lekceważenie sobie go, wypływające z obu rysów głównych — oto co się składa na tę atmosferę, w której hulają bez upamiętania i kochają namiętnie, by pewnej nocy wraz z kochanką zastrzelić się lub skoczyć do Dunaju.

Wypadki wspólnych samobójstw należą w Wiedniu do najczęstszych. Arcyksiążę, na którego biurku stał model kościoła św. Szczepana, który najchętniej mówił dyalektem wiedeńskim, otaczał się ulubionymi „Volksängerami“ a słuchając piosnek o Wiedniu i wieży św. Szczepana, płakał czasem, zawikłany też był pono w stosunek serdeczny z panną nadzwyczajnej urody i namiętnego temperamentu, baronówną Vecsera. Nie mogąc uzyskać zgody rodziny na zrzeczenie się korony, rozwiedzenie się z żoną i poślubienie kochanki, sobie i jej zadał śmierć w zamku leśnym w Meyerling, gdzie nieraz miewał z nią schadzki. Odbyła się tu tragedya, którą zapewne przyszli poeci wyświetlą jaśniej, niżli uczynić to może prasa współczesna. I właśnie ta okoliczność — obok ciekawości powszechnej i popularności, jakiej używał arcyksiążę, przyznający się zawsze do haseł liberalnych — poruszyła tak wszystkie warstwy społeczne. Rzadko bowiem w życiu występuje z potęgą tak przekonywającą siła i znaczenie realne procesów psychicznych, pobudek moralnych. Tłumy, przyzwyczajone utożsamiać bogactwo i wydatne stanowisko ze szczęściem i niezawisłością od zwykłych losów ludzkich, przekonywają się nagle, że nietylko w tragedyach, na scenie, ale i w dziejach ludzie najwyżej postawieni upadają pod ciężarem zawikłań moralnych.

Ruch na ulicah i placach Wiednia wzmógł się niesłychanie w ostatnich dniach, kiedy zwłoki arcyksięcia złożono na katafalku w kościele Augustyanów, skąd je następnie

przewieziono do grobowca cesarskiego u Kapucynów. Wojsko, które tu wobec publiczności postępuje zawsze bardzo względnie, nie mogło sobie dać rady z tłumami, wśród których liczne zdarzały się wypadki zemdleń i uduszeń. Wybornie przytem działała wiedeńska „Freiwillige Rettungsgesellschaft,“ instytucya o wzorowej organizacyi, której Wiedniowi niejedna pozazdrościć może stolica. Kondukt pogrzebowy, urządzony z przepychem wielkim, według ceremoniału dworskiego, widzianym był przez drobną tylko cząstkę publiczności, która nabyła miejsca w trybunie zbudowanej na ruinach dawnego Burgteatru.

Według prawa domowego Habsburgów kobietom rodziny cesarskiej wzbroniony jest udział w kondukcie pogrzebowym, by ukryć przed tłumami boleść, nielicującą z majestatem monarszym. Według tegoż prawa członkowie rodziny cesarskiej odprowadzają trumnę zawierającą zwłoki zmarłego tylko po drzwi kurytarza, wiodącego do grobowca cesarskiego. Tym razem cesarz przekroczył uświęcony ceremonial i z gronem arcyksiążąt poszedł za mnichami, wskazującymi miejsce świeżej trumnie, którą ustawiono obok sarkofagu Józefa II. Tam odbyła się scena wzruszająca, gdyż cesarza opuściła niezwykła istotnie siła opanowywania się i zapłakał nad zwłokami jedynego syna.

Piękną i oryginalną, mimo ponurości swej, była fizyognomia miasta w dniach tych. Nietylko chorągwie i draperye czarne, zdobiące wszystkie niemal domy, ale i wystawy wielkich sklepów wiedeńskich, tak świetne zazwyczaj i barwne, wyrażały żałobę. Sklepy galanteryjne wypełniły okna wystawowe czarnymi kwiatkami, rękawiczkami, żałobnemi chusteczkami i krepami; w handlach sukiennych czarne tylko widziano materye; ogrodnicy biust arcyksięcia, przepasany krepą czarną, otoczyli palmami. Teatry były zamknięte przez sześć dni; karnawał, który i tak już znacznego doznał był uszczerbku wskutek śmierci Maksymiliana, ojca cesarzowej Elżbiety, odebrał cios śmiertelny. Odpada też piękny bal polski; wysunięto wiec, który właśnie zejść się miał by obradować nad sprawą założenia szkoły polskiej w Wiedniu.

Jak się śmierć arcyksięcia Rudolfa odbije w losach państwa austro-węgierskiego, trudno dziś przewidzieć. W manifeście, wydanym przez cesarza Franciszka Józefa, podnosi on z naciskiem, że polityka państwa pozostanie niezmienioną, zarówno co do stosunków wewnętrznych, jak co do dążeń pokojowych. Następcą tronu zostać ma Ferdynand, syn arcyksięcia Karola Ludwika.

Ostatnią pamiątką, jaką arcyksiążę Rudolf zostawił po sobie, był zbiór drzeworytów, wyjętych z wielkiego dzieła „Oesterreich-Ungarn in Wort und Bild,“ wychodzącego pod jego protektoratem, a pod redakcyą hofrata Weilena i Jokaja. Zbiór, o którym mówimy, wyszedł w wydaniu przepysznem, przeznaczonem tylko dla członków dworu i dla instytutów naukowych, dowodzi on wysokiego rozwoju drzeworytnictwa w Wiedniu, spowodowanego przez arcyksięcia Rudolfa. Kiedy bowiem on rozpoczął przygotowania do wymienionego dzieła, sprowadzono z Monachium znakomitego profesora Hechta, który w osobno urządzonej pracowni ksylograficznej drukarni nadwornej wykształcił zastęp zdolnych uczniów, w ich liczbie dwóch polaków, Janotę i Kluczewskiego. Drzeworyty, umieszczone w zbiorze ostatnim, odznaczają się wykończeniem zdumiewającem; trudno zrazu uwierzyć, że są to drzeworyty, taka w nich plastyczna gra świateł i cieni i taka perspektywa powietrza. Krytyka wiedeńska podnosi jako pracę najpiękniejszą obrazek rodzajowy Subica, ryty przez Kluczewskiego; przedstawia on dziewczę z młynkiem ręcznym.

Na pogrzebie arcyksięcia z zajęciem przyglądała się publiczność sędziwemu prezydentowi ministrów węgierskich, Kolomanowi Tiszy. Znana ta i popularna w Wiedniu osobistość budziła zajęcie to dzięki wieści, która rozeszła się nazajutrz po śmierci Rudolfa: że Tiszę zastrzelono podczas rozruchów peszteńskich. Wieść ta okazała się zmyślona; spowodowało ją zniknięcie Tiszy, który uwiadomiony o samobójstwie Rudolfa pospieszył do Wiednia. Atoli to, co się działo w Peszcie z powodu ostatniej walki parlamentarnej, istotnie w podobny sposób zakończyć się mogło. Walczono od trzech tygodni o nową ustawę wojskową, która zmusza ochotników jednorocznych do służby dwuletniej i w której opuszczono zwrot, że unormowanie zastępu rokrutów ustaje po dziesięciu latach. Opozycya zarzucała Tiszy zdradę narodu i konstytucyi węgierskiej, i wstrząsła stanowiskiem wodza parlamentarnego, używającego w Węgrzech takiej niemal powagi, jaką miał Deak. Odkąd wrócono węgrom samorząd, podobnych scen w parlamencie ich nie widziano, ani agitacyi tak szeroko rozwiniętej. Kongres młodzieży węgierskiej, zebrany w Peszcie, obradujący przy uczestnictwie deputowanych, zwracał się nietylko przeciwko punktom zaznaczonym powyżej, ale też przeciwko ustanowieniu, iż egzamina oficerskie w niemieckim składane być winny języku; uważa on to jako nielicujące z godnością narodu węgierskiego i protestuje przeciw wszelkim usiłowaniom germanizacyjnym, wyrażając jednak swą wierność dla korony. Lud posuwał się do wybryków najdzikszych, plondrując sklepy, niszcząc przewody gazowe, i staczając krwawe bójki z policyą. Podczas mowy Tiszy, krytykującego postępowanie opozycyi, jej deputowani spostrzegli na galeryi kilku urzędników policyi i podnieśli krzyk. Nastąpiła scena niesłychana: wszyscy deputowani, opuszczając krzesła swe, w namiętnym sporze zgromadzili się na środku sali; opozycya znajdowała się w istnym szale wzburzenia, biła pięściami o stoły i domagała się bezwłocznego wydalenia policyi. Agenci policyjni opuścili cichaczem galeryę. Hrabia Apponyi, przemawiający w imieniu opozycyi, żądał zachowania języka węgierskiego przy egzaminach oficerskich, gdyż stosunek młodzieży do korony zmieniłby się zasadniczo, gdyby zaczęto pozbawiać węgrów ich indywidualności narodowej. Mowę Tiszy, polemizującego z Apponyim, przerywano słowami, obliczonemi na podrażnienie prezydenta ministrów. Zwłaszcza deputowany Paweł Kritsy wołał ciągle: wziąć dymisyę! Tisza z niewzruszonym spokojem ciągnął dalej swe przemówienie, a Kritsemu odpowiedział: nie wiadomo mi o zwyczaju parlamentarnym, iżby minister na żądanie deputowanego musiał podać się do dymisyi. A kiedy na to odebrał odpowiedź: kraj życzy sobie tego—odparł: słowa te nie skłonią mnie do ustąpienia, tak jak mnie nie skłoniły do tego listy grożące mi śmiercią, jeśli nie ustąpię. I tu źródło owej pogłoski o śmierci Tiszy.

Na zakończenie listu dzisiejszego niechaj nam wolno będzie zwrócić się ku niwie, na której wśród mniejszych walk nowe rodzą się zjawiska. Mamy na myśli literaturę piękną, pielęgnowaną przez grupę zdolnych autorów wiedeńskich. Ferdynand Saar, który drobnym swym utworem „Innocens“ odrazu stanął w rzędzie pierwszych nowelistów, wydał obecnie nowy zbiór nowel p. t. „Schicksale.“ „Lieutenant Burda“ opisuje historyę młodego porucznika austryackiego, który sądząc, iż zdobył sobie miłość księżniczki, popełnia kilka kroków lekkomyślnych, a wreszcie ginie w pojedynku. Z trafną obserwacyą zagłębia się tu Saar w psychologię żołnierza nowoczesnego. W drugiej nowelce „Seligmann Hirsz“ oddaje z niemniejszym realizmem typ ze społeczeństwa żydowskiego; jest to studyum objektywnego artysty, któremu dążność antysemicka równie jest obcą, jak chęć idealizowania właściwości żydowskich. Dziekiem i niezbyt ujmującem jest założenie trzeciej nowelki, zatytułowanej „Troglodytka;“ ale jest to jedyny w zbiorku utwór, napisany z wyższym polotem poetycznym.

Nowele baronowej Maryi Ebner-Eschenbach, pojawiające się równocześnie w handlu księgarskim, odpowiadają pierwszorzędnemu stanowisku, jakie autorka ta zdobyć sobie umiała. Zbiór obecny zatytułowanym jest „Miterlebtes.“ Istotnie też nowele te prawdą swą psychologiczną i niewyszukanym tokiem akcyi działają jakby opowiadania zdarzeń rzeczywistych. Osnowa pierwszej noweli w streszczeniu wyda się znaną: syn bogatej rodziny kocha biedną nauczycielkę i opuszcza ją, gdyż wuj grozi mu wydziedziczeniem. Ale siła autorki polega na charakteryzowaniu, a postaci tak uchwytnych, jak owa stara, bezwzględna baronowa Reich, nie wiele znajdujemy w literaturze nowelistycznej. Wybornie nakreślony też jest dom hrabiów Meibergów. Druga nowelka „Ihr Traum,“ rozwiązuje zajmujące zagadnienie psychologiczne: czy można zagłębić się tak dalece we wspomnieniach o istocie zmarłej, by przez długie lata znosić się z nią umysłowo, tak jak gdyby jeszcze żyła. Opowiadanie to włożyła autorka w usta malarza; stąd ma sposobność do wplecenia subtelnych uwag o sztuce.

Z najgłębszem zajęciem, chociaż bez harmonijnego wrażenia czyta się nową książkę Berty Suttner, związanej również z towarzystwem wiedeńskiem. Zapewne znaną jest czytelnikom *Prawdy* książka niepospolitej tej kobiety p. t. „Inventarium einer Seele,“ której horyzont szeroki i głębia psychologiczna zapewniły autorce zajęcie czytelników myślących. Suttnerowa zdobyła sobie następnie rozgłos znaczny jako powieściopisarka. Najnowszy jej utwór „Schriftsteller-Roman“ pisany jest z talentem niezwykłym, ale bez serca. Trudno uwierzyć, że kobieta powieść tę napisała. Los Freiheima, który związany jest z niekozmną kobietą, a pracując wśród trosk i kłopotów, nadwyręża swoje zdrowie, traci wzrok i popada w pomieszanie zmysłów, jest wprost okropnym. Czy autorka przykładem tym odstraszyć chciała młodych ludzi, którzy pragnęliby się poświęcić literaturze? Ale też i wszystko, co się w powieści dzieje, jest równie nieludzkiem. Przypuśćmy, iż ową karyerę pisarza, ginącego w nędzy, autorka skopiowała z życia. Ale dlaczegoż pozbawiła biednego Freiheima ostatniej pociechy, której spodziewał się od sympatyi pięknej i sprytnej Maryi, koleżanki jego po piórze? Cnota Maryi staje się prawdziwie nieśmiertelną. Autorka wysoko wznosząca się duchem ponad konwencyonalność, odpycha pisarza sympatycznego jej a kochającego ją gorąco, chociaż żona jego opuściła go i uciekła z innym. Czyni to kobieta trzydziestoletnia, niezamężna, kobieta, która już prawie straciła nadzieję znalezienia towarzysza życia, a nagle spotyka się z gorącą namiętnością Freiheima... Słusznie zauważył jeden z krytyków, że chcąc uprawdopodobnić tragiczne zakończenie powieści, powinna była Suttnerowa bohaterce swej odjąć lat z dziesięć. Ciekawym też i niezwykłym w literaturze jest los, jakiego doznała ta powieść. Umieszczono ją naprzód w *Neue illustrirte Zeitung*, a redakcya domagała się u autorki innego zakończenia, mniej odrażającego. Suttnerowa, nie chcąc przerwać druku, nagięła się do życzenia redakcyi i do smaku publiczności. Obecnie zaś, w formie książkowej, utworowi swemu wróciła postać pierwotną. Powieść jej zaleca się zresztą czemś, o co nie trudno było Suttnerowej, stojącej śród życia literackiego: zajmującymi rysami ze stosunków literackich i z życia autorskiego.

Stwosz.

LAVOSLAV GORENJEC PODGORICZAN.

(Korespondencya).

Ważnym czynnikiem w rozwoju piśmiennictw słowiańskich są tłomaczenia z języków pobratymczych. Ponieważ wskutek wiekowego ucisku życie umysłowe zaczęło budzić się u słowian dopiero z początkiem bieżącego stulecia, a w zaciętej walce z niemcami i węgrami musieli lud odzwyczajać od czytania po niemiecku i węgiersku, nie mogąc przytem współzawodniczyć z piśmiennictwem wrogów, więc zaczęli tłomaczyć najlepsze utwory z innych języków pokrewnych, przeciwstawiając literaturę ogólno słowiańską niemieckiej lub węgierskiej. W taki sposób nazywał czech lub słowak Mickiewicza lub Puszkina „swoim słowiańskim“ wieszczem i mógł dumnie powiedzieć węgrom, że takich poetów oni nie mają. Ale przeglądając owe przekłady, znajdujemy głównie tłomaczenia z ruskiego i czeskiego, natomiast bardzo rzadko z polskiego. Bo też kiedy prawie każdy literat południowo-słowiański umie po rusku albo przynajmniej po czesku, po polsku nawet najwięksi uczeni słowiańscy rozumieją niewiele. W Lublanie, w Zagrzebiu, w Belgradzie, w Sredcu (Sofii) wszędzie pełno ruskich i czeskich książek i dzienników, polskiej zaś książki, polskiego pisma tam nigdzie nie znajdzie. Gdziekolwiek zaś polacy, czy to pojedynczo, czy też w większej liczbie schodzą się z innymi słowianami, zawsze zachowują się względem nich tak dziwnie zimno, że nigdy nie budzą uczuć gorętszych. Podczas kiedy ruscy szybko zyskują sympatyę słowian, polskie towarzystwa odgradzają się zawsze chińskim murem od pobratymców, odpowiadają na ich życzliwość ściśle etykietalną grzecznością, a zasklepiając się w swoich kółkach, jak ślimaki, w skorupach, pogardzają dumnie „holotą“ słowiańską, która atoli poczuciem narodowem i wytrwałą pracą ku podniesieniu oświaty ludu powinna służyć za wzór młodzieży polskiej.

Nic tedy dziwnego, że między słowianami południowymi rzadko pojawiają się pisarze, którzy wyzwoliwszy się z zakorzenionych uprzedzeń, sądzą o nas nie według stosunków towarzyskich, ale głównie według naszej literatury, która zawsze budzi zapał u jej znawców słowiańskich — przyznać trzeba — bardzo nielicznych. Do takich białych kruków, którzy pielęgnując wzajemność słowiańską, gorliwie rozszerzali znajomość literatury polskiej, należał Lavoslaw (Leopold) Gorenjec, podpisujący się zwykle od wioski rodzinnej Podgoriczan. Był to jeden z najczynniejszych pośredników między Słowiańszczyzną południową a północną, cichy, lecz pilny pracownik, którego życie nie przedstawia żadnych szczególnych zdarzeń. Urodził się d. 12 listopada 1840 r. z ubogich rodziców w małej wioszczynie Podgoricy pod Mokronogiem w niższej Krainie. Śród ciężkiej walki o byt ukończył gimnazyum w Rudolfowie (Rudolfswerth), gdzie go z 7 klasy o mało nie usunięto za korespondencye o zaniedbywaniu języka słoweńskiego w gimnazyach, ogłaszane w lublańskich *Novicach*, jedynem wówczas politycznem piśmie słoweńskiem. Później wstąpił (1861) do seminaryum teologicznego w Lublanie. Tutaj łącznie z kilkoma czynnymi kolegami, którzy obecnie są znani jako narodowcy słoweńscy, np. poseł do rady państwa i współpracownik *Slovenca* Karol Klun oraz poeci Sztrukelj (Fr. Jaroslav) i Bilz — wydawali prywatną gazetę p. t. *Slovenska Lipa*. W niej zamieścili oni tłomaczenia z różnych języków słowiańskich, których jednocześnie pilnie się uczyli. Wtenczas i Gorenjec zaczął uczyć się po czesku, polsku i rusku. Po otrzymaniu święceń duchownych (1865) posłano go jako kapłana naprzód do wsi Nesselthal w niemieckiej osadzie Gottschee, żeby trochę ostudzić jego gorącą krew słoweńską. Pozostał tam do 1868 r., poczem go przez 8 lat przerzucano do różnych wiosek krainskich, gdzie miał ciężką służbę, ale wszędzie zjednał sobie poważanie i przyjaźń parafian, u których pozostawił dobrą pamięć po sobie. Wreszcie w 1876 r. został proboszczem w Adleszicach (w powiecie Czrnomeljskim, na granicy chorwackiej) w ubogiem probostwie, o które oprócz niego nikt się nie podał, pomimo że nań trzy razy rozpisano konkurs. I Gorenjec chciał tylko parę lat tam przebyć a potem starać się o lepsze miejsce — tutaj jednak został na zawsze. Zaziębiwszy się bowiem podczas procesyi, zapadł na puchlinę wodną (1882). Chociaż na razie wkrótce przyszedł do siebie, po 5 miesiącach choroba odnowiła się i to w tak wysokim stopniu, że lekarze stracili wszelką nadzieję i oświadczyli, że ledwie trzy dni może jeszcze żyć. Tymczasem odzyskał nieco siły, ale wciąż strasznie cierpiał. Nie mógł ani leżeć, ani siedzieć: sześć tygodni musiał śród okropnych bólów dniem i nocą stać przy stole. Żeby trochę zapomnieć o chorobie, tłomaczył śród najokropniejszych boleści *Chatę za wsią* Kraszewskiego na język słoweński. Podczas niezwykle gorącego lata polepszyło mu się znacznie, ale w zimie zapadł znowu. Tak powtarzało się przez 4 lata, aż wreszcie d. 19 lutego 1886 r. śmierć uwolniła przedtem zdrowego i czerstwego człowieka od ciągłych męczarni.

W Podgoriczanie utracili słoweńcy jednego z najczynniejszych literatów. Chociaż nie pozostawił wiele oryginalnych prac, położył jednak ogromne zasługi dla podniesienia literatury rodzimej. Już za młodu był pilnym zbieraczem pieśni i podań ludowych, których wielką ilość wydał w wychodzącym wtedy *Glasniku*, gdzie także z wielkim zapałem wzywał młodzież słoweńską do zbierania ich podczas wakacyi. Tu ogłosił także zabobony z Gottschee p. t. *Koczewske vraže*. Największą atoli popularność zjednał sobie licznymi przekładami powieści czeskich, ruskich a szczególnie polskich. Z polskiego przetłomaczył naprzód Czajkowskiego *Kirdżali* (1864), jeden z pierwszych przekładów z polskiego na język południowo-słowiański. Powieść ta wkrótce po wyjściu zupełnie rozprzedana a w r. 1878 przez „Maticę Hrvatską“ wydana po chorwacku i znowu prędko wyczerpana, zrobiła wielkie wrażenie na słowianach południowych, którzy się jednak bardzo dziwili, że polacy (kozacy nekrasowcy) w służbie tureckiej walczyli przeciwko obrońcom wiary chrześciańskiej. Zachęcony wielkiem powodzeniem *Kirdżalego* tłomaczył Podgoriczan jeszcze Czajkowskiego *Czerwoną sukienkę*, *Termolamę* i *Owruczanina*. Z innych pisarzów polskich przełożył wiele utworów Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Krasińskiego, W. Pola, Wojcickiego, Rzewuskiego i innych. Artykuły „Zwyczaje pogrzebowe w Polsce“ i „Arcybiskup Ledóchowski“ są, jak się zdaje, przez niego z polskich źródeł oryginalnie zestawione. Jednocześnie przekładał Podgoriczan wiele z czeskiego (szczególnie południowo-słowiańskie powieści Chocholouszka) i z ruskiego (głównie Gogola, którego powieść *Taras Bulba* stała się bardzo popularną u słoweńców) a nawet jedną powieść z rusińskiego (Kulisza: *Michał Czerniszenko*). Pod tym względem miał jednak wielu poprzedników i naśladowców, tylko literatura polska, której był pierwszym tłomaczem na język słoweński, nie znalazła dotąd drugiego, tak gorącego zwolennika. Działalność Podgoriczana można tylko wtenczas należycie ocenić, jeżeli zważymy, jak nierówną walkę prowadzi literatura słoweńska z niemiecką, rozchodzącą się po Słowenii w tysiącach egzemplarzy dzienników i tanich a zajmujących powieści. Ponieważ małej garstce narodowców trudno zasilać równocześnie utworami oryginalnymi większą ilość dzienników, Podgoriczan, który tyle powieści słowiańskich przetłomaczył a jednocześnie wszystkie pisma słoweńskie zapełniał licznymi artykułami, znaczył sam jeden dla słoweńców prawie tyle, co cały zastęp literatów. To też słusznie ziomkowie jego stawiają go obok swojego najpłodniejszego pisarza Jurczica, bo zasługami dla literatury dorównał temu pierwszorzędnemu powieściopisarzowi słoweńskiemu.

Meg.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Likwidacya kas zjednoczonych na kolejach. — Jednostronne rozwiązanie umów. — Grunt prawny. — Skutki „smutnego współzawodnictwa“ aptekarskiego, czyli tańsze lekarstwa. — Radość z żalu. — *Pan Tadeusz* ilustrowany. — Andriollizm rysunków. — Odpowiedź Promyka w sprawie ulepszonej pisowni. — Zasada i logika, a raczej kawałek zasady i kawałek logiki. — Nasze strapienie które innym narodom nie dokucza.

Przed wielu tysiącami ludzi stanęła bardzo poważna zagadka bytu, która jest prawdziwym duchem Banka przy uczcie karnawałowej. Oto kasy zjednoczenia na wszystkich drogach żelaznych mają być nieodwołalnie zlikwidowane. *Karyer warsz.* radzi wierzyć w dobrą wolę towarzystw i władz kolejowych, które—według niego—nie porzucą swych pracowników na pastwę złego a niespodziewanego losu; w tej wierze jednak mieści się dużo wątpienia. Przysłowiowego szczygła na sęku nie widać, a wróbel w ręku zmniejszył się do wielkości kolibra. Uczestnicy kas mają otrzymać tylko swoje wkłady, a emerytury zaliczyć do snów rozkosznych, które nigdy nie powrócą i nigdy się nie urzeczywistnią. Jak wiadomo, oszczędność nie jest naszą mocną stroną: aby koniec z końcem związać zapomocą niewielkiego weksla lichwiarskiego—to dla polaka najwyższe bohaterstwo ekonomiczne. Zwłaszcza ci, którzy pracują w biurach i wnoszą składki emerytalne, opierają na nich całą swą przyszłość. Pojąć też łatwo, jakim gromem jest dla nich wiadomość, że nadzieja emerytury rozwiała się, że odbiorą tylko swoje wkłady i muszą pokwitować z wszelkich innych pretensyj. Przyznać trzeba, że taka likwidacya świadczy o zbyt chwiejnej podstawie prawnej stosunku między pracownikami a zarządami i towarzystwami dróg żelaznych. Każda kolej ma swój statut, każda kasa zjednoczenia swoją ustawę, każda nominacya jest kontraktem, zawartym na mocy prawa, czyż więc ten kontrakt może być rozwiązanym jednostronnie? Kiedy przyjmuję służbę na drodze Wiedeńskiej, wiem, że strącając z mojej pensyi pewien procent, po czasie określonym wysłużę częściową lub całkowitą emeryturę, która będzie ubezpieczeniem materyalnem dla mnie i mojej rodziny. Jeżeli więc zarząd tej drogi po latach 10, 18 lub 20 powiada mi, że on swoje przyrzeczenie uważa za niebyłe, że je cofa, że ufając mu, myliłem się, to niewielkiego potrzeba trudu, ażeby odnaleźć nazwę dla takiego postępowania. Ludzie młodzi mogą wyrównać sobie ten zawód w dalszym życiu, ale co zrobią starsi, obarczeni rodziną? Czytaliśmy w pismach kilka wywodów buchalteryjnych, ale nie spotkaliśmy ani jednego prawnego, któryby rozstrzygnął pytanie: czy i o ile przymusowa likwidacya kolejowych kas zjednoczenia pozbawia uczestników możności dochodzenia swoich strat i szkód? Dodać należy, że gdyby ona nawet była nakazaną, to jeszcze nie uwalnia Towarzystwa od zobowiązań wstecz.

Uwagi powyższe są tylko rozumowaniem logicznem; wartoby, ażeby ktoś oświetlił tę sprawę ze strony prawnej na podstawie statutów.

Bez kodeksu, bez ustawy farmaceutycznej mogę rozstrzygnąć inną kwestyę sumienia. Powien aptekarz, w którego oficynie zdrowia pobrano za lekarstwo znacznie wyższą należność, niż w drugiej, tłomacząc się publicznie z tej różnicy, powiada, że jest to skutek „smutnego współzawodnictwa,“ gdyż on trzymał się cennika. A niechże cię, kochany panie „z Chłodnej,“ za ten mimowolny humor Bóg strzeże od twojej własnej kuchni. Więc jeżeli aptekarz zrzeka się części swoich dobrodziejstw z taksy, to według pana jest objawem „smutnego współzawodnictwa“? Dopóki pan nie dowiedziesz, że twój konkurent zamiast chininy sprzedaje magnezyę i wogóle fałszuje towar lub jego wagę, tylko poprzestaje na mniejszym zysku, nie możemy wraz z tobą płakać nad upadkiem moralności aptekarskiej. Gdybyśmy bowiem ulegli takiemu rozrzewnieniu, stanęłyby przy nas gromady biedaków, niemających za co kupić sobie lekarstw i objawiłyby swą słuszną radość z naszego „smutku.“ Proszki, pigułki i mikstury, przygotowane należycie, nie stracą na skuteczności, gdy zamiast 50, kosztują 30 kop., owszem zyskają, bo rozpowszechnią się w tych sferach, w których 20 kop. jest sumą poważną i rozstrzygającą o ratowaniu lub nieratowaniu chorego.

I Mickiewicz zyskał na tem, że „smutne współzawodnictwo“ przełamało taksę aptekarską jego pism i sprzedaje ich zbiór po 80 kop. P. Altenberg, księgarz lwowski, rozpoczął wydawanie w zeszytach *Pana Tadeusza* z rysunkami Andriollego. Od pewnego czasu ile razy usłyszę, że ten cenny niegdyś artysta ma ilustrować jakieś arcydzieło literatury naszej, uczuwam dreszcz śmiertelny. Spodziewam się bowiem ujrzeć postacie cudaczne, nienaturalnie przekręcone, skarykaturowane manierą i pośpiechem, w pozach prowincyonalno-teatralnych, zawsze jednakie i zawsze wyrażające jedynie andriollizm. Niestety, wszystkie te właściwości wystąpiły w *Panu Tadeuszu.* Szkoda dobrego przedsięwzięcia i nakładu. Przynajmniej zeszyt pierwszy nie posiada ani jednego obrazka poprawnego, wyrażającego charakter bohaterów poematu. Tak np. Hrabia, słuchający opowieści Gerwazego, wygląda jak debiutant sceny pinczowskiej lub ciechanowskiej: zwinął ręce pod brodę, twarz pochylił, wzrok nasrożył z komiczną grozą i udaje demonizm, który śmiech budzi. Sprawiedliwość przyznać każe, że rysunki p. Andriollego nie o wiele są gorsze od ilustracyj dzieł wielkich poetów zagranicznych. Potworki widzieć można również na stronicach utworów Goethego, Schillera, Shelleya, Byrona, ale obok tych tandet bywają prace przepiękne i artystyczne. Tymczasem u nas są tylko liche i nawet Mickiewicz nie doczekał się znakomitego ołówka. Najmniej zaś do ilustrowania jego pomysłów nadaje się p. Andriolli ze swoją cudaczną i karykaturalną manierą, niezdolną ani odczuć, ani odtworzyć klasycznych, spokojnych postaci i widoków. Gdyby ktoś z jego wizerunków chciał odgadnąć osnowę *Pana Tadeusza*, wywnioskowałby, że jest to wytwór zwichrzonej fantazyi, jakiś nieszczęśliwy płód byronizmu, jakiś sen chorobliwy. Może następne ilustracye będą artystycznie lepsze i z treścią poematu zgodniejsze; pragnęlibyśmy tego, ale p. Andriolli wielokrotnie już przekonał nas, że nie chce, czy nie może rysować inaczej, wyjść po za szablony swej maniery ani pięknej, ani naturalnej. A przecież kiedyś dawał nam rzeczy bardzo ładne. Pamiętamy jeden jego obrazek w *Kłosach* (Z życia wiejskiego), którego artyzm był nieporównanym.

Obok pomieszczamy odpowiedź Promyka na uwagi nasze o jego ulepszonej pisowni. Odpowiedź ta przekonywa, że twórca wynalazku zbyt jest olśniony jego światłością i ciemnych stron wcale nie widzi. „Zasada alfabetyczna i logika — powiada on — wymagają, aby każda pojedyncza głoska mowy ustnej wyrażała się piśmiennie w postaci pojedynczego znaku.“ Naprzód żadna ścisła „zasada alfabetyczna“ nie istnieje; powtóre zachodzi pytanie, czy dźwięki takie, jak *sz*, *dz*, *cz* są „pojedyncze“ i czy nie jest rzeczą słuszną pisać je dwiema literami, co czynią francuzi, niemcy, anglicy i wiele innych najoświeceńszych narodów. Nas ma trapić, że *sz* wyrażamy przez dwie głoski, a niemiec wcale tem się nie kłopocze, że wyraża przez trzy *sch*, *cz* zaś przez cztery *tsch*. Dalej Promyk odwołuje się do logiki — instancyi dość niewłaściwej. Język nie jest wytworem logicznym, a tem mniej alfabet. Bo niechże logika wytłomaczy, czemu *stół* jest rodzaju męzkiego, *kanapa* — żeńskiego, a *krzesło* — nijakiego? Czemu *mleko* — nijakiego, *śmietana* — żeńskiego, *ser* — męzkiego? Czemu *poniedziałek* — męzkiego, a *niedziela* — żeńskiego? Czemu — *dziewczątko* i *chłopiątko* — nijakiego. Czemu po niemiecku raz kobieta *Frau* jest rodzaju żeńskiego a drugi raz *Weib* — nijakiego? Podobnież na jakiej zasadzie dźwięk *ą* wyrażamy przez *a* z ogonkiem, kiedy w nim nie słychać *a*, ale raczej *o*? Dlaczego by *wchód* nie pisać *fhut*? Że nawet Promykowi podoba się tylko kawałek logiki, dowodem jego rozbrat z nią przy spółgłoskach zmiękczonych przed samogłoskami. „Nigdy — mówi on — nie miałem i nie mam zamiaru pisać lub drukować K'edy.“ A więc na cóż w jego alfabecie przydadzą się takie znaki, jak F', G', K', M'? Przecież będą używane tam, gdzie jest ich miejsce? Dalej Promyk utrzymuje, że jego pomysł nie utrudnia pisania. Proszę każdego niech spróbuje napisać wyrazy: *CHmiel*, *CHata*, *CHoroba* w ten sposób, ażeby dwie pierwsze litery były związane z sobą na podobieństwo monogramu? Czy poczuje ulepszenie? Zresztą po co tu inne dowody! Mam przed sobą dwa listy Promyka w tej sprawie: jeden pisany jego ręką, a drugi cudzą i w obu nie znajduję wcale zastosowanej nowej metody, w obu wyraz np. *Szanowny* napisany tak, jak gdyby Promyk sam stał po zagranicami swego wynalazku. A od chłopów wymaga, ażeby go sobie przyswajali? Dziwne żądanie. Historya nie zna takiego wypadku i prawdopodobnie znać nie będzie, ażeby reforma pisowni weszła do społeczeństwa od dołu, od jego warstw najmniej oświeconych. Stawiać lud, który w ogromnych masach pisać i czytać nie umie, w sprzeczności z ogółem ukształconym — byłoby wszędzie krokiem niestosownym a u nas stanowczo szkodliwym. Promyk postępuje tak, jak gdyby rozporządzał nietylko *Gazetą Świąteczną* i swojemi wydawnictwami, ale szkołą i całą literaturą ludową, jak gdyby jego wynalazek mógł pozostać czemś innem, jak odszczepieństwem od alfabetu powszechnego. Żaden, a przynajmniej rzadko który ksiądz, obywatel ziemski, jego żona, synowie i córki, pisarz gminny, wójt, sędzia, wszyscy, którzy mogą kształcić lud albo mieć z nim stosunki, nie będą pisali *CHwała* i *CHrystus*; jeżeli tego również czynić nie będą inne pisma i książki, po co więc cały ten wynalazek, który klas ukształconych nie zjedna a dla nieukształconych stanie się szkodliwem bałamuctwem? I to właśnie pozostaje dla mnie zdumiewającem, że Promyk tej szkodliwości nie widzi, on, który tak doskonale zna stan umysłowy naszego ludu i warunki jego oświaty. Nie poddawszy uprzednio swego wynalazku krytyce, nie upewniwszy się o zgodzie chociażby tylko innych pisarzów i wydawców literatury ludowej, wytwarza osobistą sektę graficzną tam, gdzie ona jest najmniej pożądaną. Bodajby ta sekta nie okroiła mu pola działalności i wpływu!

Poseł Prawdy.

O PRAWDĘ.

Szanowny Redaktorze! Wystąpienie *Prawdy* w ostatnim (6) numerze przeciw wprowadzonej przeze mnie poprawce w kilku literach polskich zmusza mię prosić, żebyście w imię prawdy i bezstronności raczyli ogłosić następujące sprostowanie.

Nigdy nie miałem i nie mam zamiaru pisać lub drukować „K'edy“ ani też k'edy. Przeciwnie, w artykule o „Piśmie polskiem“ powiedziałem najwyraźniej, iż od reformy w zmiękczaniu spółgłosek przed samogłoskami wstrzymywać się należy, ponieważ „*taka pisownia utrudniłaby w przyszłości czytanie starszych książek.*“ Twierdzenie więc co do tego w „Liberum veto“ opiera się zapewne tylko na przerzuceniu, ale nie odczytaniu rzeczonego artykułu.

Do *pisowni* polskiej, *ustalonej od wieków*, reformy żadnej nie wprowadzam. Owszem, dbałem i dbam przedewszystkiem o to, aby nie naruszać zasady historycznie wyrobionej i ogółowi znanej, aby nie utradniać przyszłym pokoleniom czytania dzieł dotąd wydanych, ani ludziom spółczesnym korzystania z książek nowych. Zasadę od wieków ustaloną ostatecznie krystalizuję i uświęcam, zasłaniając ją przed zarzutem, iż jest nielogiczną.

Zasada alfabetyczna i logika wymagają, aby każda pojedyncza głoska mowy ustnej wyrażała się piśmiennie w postaci pojedynczego znaku; aby jedna litera odpowiadała jednej też głosce. Odstępstwo od tej zasady nie jest rzeczą drobną, jak sądzi Poseł Prawdy, bo utrudnia milionom ludu naukę czytania i procesowi jej odejmuje w znacznej części bardzo ważną zaletę, zdolność rozwijania umysłu; bo czyż to nie tępi i nie gmatwa pojęć, iż np. *cs-zet a* ma się czytać *sza*, iż trzy litery mają oznaczać dwie tylko głoski. Poprawka moja zmierza do usunięcia takich właśnie nielogiczności i utrudnień. Ale przytem (spieszę położyć na to nacisk) nie wprowadza żadnych innego rodzaju utrudnień, bo nie zmienia bynajmniej ustalonej pisowni, do której naród od wieków się przyzwyczaił. Kształt piśmienny pojedynczej głoski, od której np. zaczyna się wyraz *szata*, pozostawiam ten sam, jaki był dotąd; a poprawka polega tylko na tem, iż oba pierwiastki tego znaku, nie zmieniając nawet ich dotychczasowej kolei, łączę w jedną literę.

Nie drukuję więc: rzeka
lecz: rzeka
nie: chrząszcz
lecz: chrząszcz.

Różnica w tych dwóch sposobach jest tak mała, że wiele osób czytając nawet jej nie dostrzegło, póki im palcem nie wskazałem, na czem ona polega.

Przez cóż więc taka poprawka zasłużyła na potępienie, czem ma „szkodliwie oddziałać na oświatę?“ Dziwię się, iż jej dotąd nikt nie wprowadził, a to tembardziej, iż od wieków patrzymy na przykłady łacińskich æ, œ i niemieckiego ß.

Zaleca się zaś owa poprawka tem, iż:

1) Nie wykracza przeciw odwiecznej naszej pisowni, nikomu nie utrudnia czytania, a jednak zgadza się zupełnie z wymaganiami zdrowego rozumu, logiki.

2) Usuwa najznaczniejsze trudności w *nauce* czytania.

3) Usuwa zarzuty czynione pisowni naszej przez obcych i swoich.

4) Daje możność pisania niedwuznacznie takich wyrazów i nazwisk, jak np. zamarza i zamarza, odziębiony a odziany, nieodzownie (nie zaś: nieodzownie), barzo, Borzobohaty, Kurzepa, Erzepki, Korzon (a nie Erzepki, Korzon, jak dziś skutkiem nielogiczności pisowni niektórzy wymawiają), itp.

5) Daje możność zawarcia wyrazów drukowanych na mniejszej nieco przestrzeni.

6) Ułatwia i przyspiesza o 5% lub 6% robotę drukarską

Spotkałem jeszcze w *Prawdzie* zarzut, iż „odlanie takiej sztucznej czcionki jest łatwem, ale pisanie jej nie.“ Na to mogę krótko odpo-

wiedzieć, że przecież od wieków już ludzie piszący mają zwyczaj łączyć litery, a często po dwie ściągają jakby w jeden znak. Zresztą łączenie takie w piśmie (nie w druku) zaprowadziłem już przed dziesiątkiem lat w jednej z dość rozpowszechnionych książek, a nikogo to nie raziło i nie razi, przeciwnie — naukę pisania ułatwia.

K. Promyk.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Pieniądze. *Prawit. Wiest.* zamieszcza rozporządzenie, dotyczące dopłat do złota rublami srebrnymi, kredytowymi i bilonem srebrnym przy regulowaniu należności celnych. Ruble srebrne i kredytowe mogą być przyjmowane do wysokości pięciu rubli w złocie, bilon zaś srebrny do jednego rubla. Jednocześnie ministeryum ogłasza ceny dla rubli srebrnych, kredytowych i bilonu w stosunku do złota. Rubel srebrny będzie liczony po 70 kop. w złocie, kredytowe i bilon srebrny po 68 kop. w złocie. Kurs ten obowiązuje od 27 b. m. do 13 kwietnia.

Tytoń. *Petersb. Wied.* donoszą, iż projekt zaprowadzenia w Rosyi monopolu tytoniowego został niedawno stanowczo odrzucony. Ministeryum, pozostając przy obecnym systemie, zamierza stopniowo podwyższać akcyzę od tytoniu. Ze szczegółów zebranych przez ministeryum skarbu wynika, iż stopniowe podwyższanie cen banderoli nie obciąża bynajmniej przemysłu tytoniowego.

Kolej do Radomia. *Kur. warsz.* donosi, iż jeden z tutejszych inżenierów, zainteresowany w sprawie budowy drogi żelaznej z Warszawy do Radomia, otrzymał z kancelaryi ministeryum dróg i komunikacyi wiadomość, że udzielenie koncesyi na wspomnianą linię nie ulega żadnej wątpliwości. Koncesyonaryuszem będzie Towarzystwo kolei Dąbrowskiej. Formalne ogłoszenie koncesyi nastąpi w przyszłym miesiącu; roboty rozpoczną się na wiosnę.

Inżenierowie. *Nowosti* donoszą, iż na przyszłość tytuł inżeniera komunikacyi przyznawany będzie tym tylko osobom, które przynajmniej trzy lata służyły w ministeryum komunikacyi lub na prywatnych kolejach. Zmiana ta pozostaje w związku z gruntowną reformą instytutu inżenierów komunikacyi.

Kółko kapitalistów zamierza utworzyć towarzystwo, zajmujące się specyalnie reasekuracyą polis ogniowych. Celem stowarzyszenia jest zapobieżenie wywozowi z kraju kapitałów, używanych na reasekuracyę w towarzystwach zagranicznych.

Na drodze Wiedeńskiej (donosi *Kur. warsz.*) projektowane są liczne zmiany w organizacyi służby wewnętrznej. Dotyczą one pewnych uproszczeń i ułatwienia administracyi. Początkowo projektowano, ażeby wszystkie gałęzie służby, będące w bezpośrednim stosunku z wydziałem ruchu, stanowiły z nim jedną całość i w tym celu zamierzono wcielić do wydziału ruchu wydziały służby ekspedycyi i telegraficznej; gdy wszakże wcielenie wydziału telegraficznego z wielu względów okazało się niemożebnem, poprzestano na zmianach tylko samego wydziału ekspedycyjnego, który w ten sposób przeszedłszy pod bezpośrednią zależność wydziału ruchu, tworzyłby w przyszłości jedną z jego sekcyj.

Podwyższenie dopłaty. W celu podwyższenia dochodów zakładów dobroczynnych, podniesiono projekt podwyższenia dopłaty na rzecz tych zakładów pobieranej przy biletach teatralnych, z 5 na 10 kop. Projekt powyższy ma związek z proponowanem ustanowieniem takiejże dopłaty od przedstawień teatralnych na prowincyi w gub. warszawskiej.

Kopalnie złota. Polak, Stefan Mierzyński, rozpoczął na wielką skalę eksploatacyę kopalni złota w Afryce południowej. Spekulanci niemieccy przyszli mu w pomoc ze znacznym kapitałem.

Szkołę pszczelarską zakłada p. Bartkiewicz w Wąwolnikach w Lubelskiem.

Wystawa inwentarza, jak w latach ubiegłych, odbędzie się w Warszawie. Z programu jej wyklucza się wszystko to, co nadawało dawniej charakter zabawy, nie przedsięwzięcia praktycznego. Będzie to właściwie jarmark na inwentarz. Czas trwania wystawy od 8 do 17 czerwca.

Katastrofa. Na linii kolejowej Bruksella-Namours rozbił się pociąg wskutek wykolejenia. Lokomotywa strzaskała się zupełnie, zabijając maszynistę. Zginęło około stu osób, reszta podróżnych otrzymała ciężkie rany.

Nowe pismo zaczęło wychodzić w Kołomyi p. t. *O własnych siłach*, pod redakcyą Bohdana Marduro-siewicza. Jest to tygodnik poświęcony sprawom ekonomiczno-społecznym.

W Teheranie 13 marca r. b. otwartą będzie wystawa, mająca na celu wyłącznie rozpowszechnienie śród ludności miejscowej wyrobów przemysłu w granicach Rosyi uprawianego. Wystawa potrwa kilka miesięcy.

W Charkowie urządzono na cel dobroczynny teatr amatorski. Odegrano jednoaktówkę Koziebrodzkiego „Miłe złego początki“ i „Nikt mnie nie zna“ Fredry. Biedni zyskali przeszło 400 rs.

Wagony czwartej klasy dla ułatwienia podróży robotnikom będą wprowadzone przy wszystkich pociągach osobowych.

Konkurs. Termin składania prac na konkurs Chojnackiego przedłużono jeszcze na dwa miesiące. Tytuł pracy: „O rugowaniu słowian z nad Elby.“ Nagroda 1,350 rs.

Szkoły. Od mieszkanek Królestwa Polskiego, udających się do wyższych zakładów naukowych w Szwajcaryi, wymaganym jest obecnie albo patent z ukończenia pensyi, lub zbiorowe świadectwo nauczycieli, jeżeli wychowanie było prywatne, przyczem podpisy ich powinny być legalizowane.

— Z rozporządzenia władzy edukacyjnej we wszystkich średnich zakładach naukowych dokonywane będą badania stanu fizycznego i zdrowotności uczącej się młodzieży. Badania te prowadzić ma komisya złożona z kilku lekarzy.

— Kilka prywatnych pensyj żeńskich w Warszawie rozpoczęło starania, aby w programie nauk od przyszłego roku szkolnego pomieszczoną być mogła buchalterya. Wykład tego przedmiotu nie będzie obowiązkowy dla wszystkich uczenic.

Bibliografia. A. Pełczyński, *Kanały Marsa.*

— *Rocznik* Towarzystwa ogrodniczego. Warszawa.

— S. Chełchowski, *Materyały do etnografii ludu* z okolic Przasnysza. Warszawa, str. 30.

— A. Strzelecki i [illegible], *Encyklopedya rolnicza*, zeszyt 8.

Zmarli. Gustaw Lewita, w Paryżu, fortepianista polski. Ur. 1833 r. w Płocku, kształcił się w szkołach warszawskich, studya artystyczne odbywał w Paryżu i Wiedniu. Był profesorem konserwatoryum warszawskiego. W r. 1884 przeniósł się do Paryża, skąd odbył dwie podróże artystyczne do Ameryki.

— Kard. Ledóchowski nie umarł.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu S. K. w Ł. Przy sposobności dotkniemy tej sprawy.

Panu W. M. Niech Pan nie przysyła, bo nie mamy ani czasu na czytanie, ani miejsca na pomieszczenie tak obszernej pracy. Gdyby *Prawda* posiadała dwa razy większą objętość, niż ma obecnie, nie zdołalibyśmy wyczerpać całkowicie naszego stałego współpracownictwa. O nowem więc i przygodnem myśleć nie możemy.

Hektorowi N. Niech Pan zapyta ludzi doświadczonych, jakie wybrać rzemiosło; my takich rad nie udzielamy.

Panu Wł. W. W tej chwili nie mamy zbywającej pracy.

Stał. prenum. Najprostszy sposób: 1) mieć talent i 2) wykształcić go czytaniem pisarzów wzorowych.

Prenumerat. z Z. Wątpimy, ażeby był na świecie człowiek, któryby mógł Pana objaśnić, czy „wyżej stoi“ literatura niemiecka, czy francuska. To tylko wiadomo, że niemiecka ilościowo bogatsza.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Sprostowanie. W nr. 6, str. 66. szp. 2, w. 8 od dołu, zam. „Ruskij Mir,“ czytać należy: *Ruskaja Myśl.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Февраля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.